

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok VI
Łódź, 7. VII. 63.
Nr 27 (279)
Cena zł 1.—

BERNARD SZTAJNERT

WŁAMYWACZ i POKRZYWDZENI



Fot. L. Olejniczak



Jedna z poszkodowanych

do golenia i... Oficcerski Krzyż Orderu Odrodzenia Polski. Usiłuję wszystkie te przedmioty podzielić na kategorie przydatności, na kategorie wartości finansowej i uczuciowej. Oto dzieło włamywacza trudne do klasyfikacji rozumowej, oporne wobec wysiłku humanistycznego, społecznego myślenia. Złota bransoleta i order, cóż za dziwne zestawienie!

Na oddzielnym stoliku leżą narzędzia włamywacza — jego nieliczne, niepozorne narzędzia, parę drucików, wytrych, kilka kluczy — to cała aparatura techniczna — rozległa była tylko jego zacięta, niepokromiona energia. Włamywacz działał sam — do chwili obecnej przyczyna się do 53 włamań mieszkaniowych. Jego kryminalny debiut nastąpił we wrześniu 1960 roku. Dokonał wtedy włamań i kradzieży zegarka ręcznego — wartości 7.500 zł, ostatnie włamanie 11 maja roku bieżącego — w 3 dni później siedział już za drzwiami z zamkiem, którego nie potrafił otworzyć...

Włamywacz liczy obecnie lat 36 — jest z wykształcenia i zawodu elektrotechnikiem, jest mężem i ojcem rodziny. Jako elektrotechnik zarabiał 1.800 zł miesięcznie — jego żona pracowała. W ciągu 3 lat włamań doskonalił technikę działania — od prymitywnych wytrychów, do kluczy dopasowanych, od dorywczych „wariacji” wypraw do przedsięwzięć wystudiowanych, poprzedzonych metodyczną obserwacją. Wartość łupów, których właściciele już zidentyfikowano wynosi 274 tys. zł, wartość łupów, których nie przypisano jeszcze prawowitym właścicielom, około 100.000 zł.

Zwolna na salę wchodzi poszkodowani. Siadają na krzesłach. Nie stwierdzam żadnych narzekania, ani gło-

śno objawionej radości. Poszkodowani są osobliwie skupieni, rzecz można uroczyści. Nikt nie bierze na boki. Niektórzy rozmawiają półgłosem. Dzisiejsze spotkanie w sali Komendy Milicji przy ul. Sienkiewicza jest zakończeniem walki między społeczeństwem a przestępcą. W jaką to szczytną niewagi, w jaką to chwilę nieobecności poszkodowanych wkradł

Dalszy ciąg
na str. 2

WESOŁY AUTOBUS

czyli bawimy się wspólnie



— „Jak się mata miele, kochane ludzie” w Krwonach”
Fot. W. Machejko

Wiedzieli, że ma przyjechać. Prosił o to w listach, zabiegali poprzez członków zasiadających w różnych władzach wojewódzkich, w Komitecie partyjnym. Przed przyjazdem kobiety piekły ciasto, w garach parował bigos, chłopci dobierali nalewki. Drogi wysypano żółtym piaskiem, a podłogi w gminnej radzie wypastowano na czerwono.

Autobus wjechał w wieś ostrożnie, bojąc się jakby swej długości i wagi 11 ton. Zawinał przed strażacką remizą i wolno dobił do ściany. Z góry spadły wiązki czarnych kabli od mikrofonów. Ludzie ciągnęli jak na odpust. Pieszko ze wsi okolicznych, na motocyklach z odleglejszych, wasagami, bryczkami. Dziewczęta same na WFM-kach w czeskich szpilkach, chłopcy w ortaliowych płaszczach. Parking, który urządzono za remizą był większy niż nasz plac Komuny Paryskiej. Tłum obejrzyjcie na zdjęciu.

Estrada z nierównych desek oparta o ścianę strażackiego garażu. Wchodzi się na nią po stromych schodach — drabinie. Zwykły stolik, krzesło, mikrofony. Ot i wszystko. Macie już Wesoły Autobus.

Czym jest? Czy teatrem dla wsi, specjalną formą „Estrady”, czy kabaretem? Gdzie leżą przyczyny jego oszałamiającej popularności, tych setek listów z zaproszeniami na koncerty, może raczej na spotkanie z mieszkańcami nie tylko wsi i miasteczek, ale wielkich miast i obiektów przemysłowych?

Czym jest? Jest kabaretem dla wsi. Przynajmniej od strony scenicznej. Występuje, czy „gra” nieraz w samym środku widowiska, operuje bardziej tekstem niż aktorstwem, choć to ostat-

nie stawia przed wykonawcami kolosalne wymagania pobawiając ich np. teatralnego kostiumu, charakterystyki, światła, dekoracji, gdyż program bazuje co najwyżej na małym rekwiizycie — przylepionych wasach, zgniecionym kapeluszu, płaszczu z podniesionym kołnierzem, rozwichrzonych czuprynie. Wszystko to znaczy akurat tyle, ile potrzeba w umowie między widzami a artystą: bawimy się wspólnie. Wykonawcą jesteś ty i ja. Więc wciąż, niby to paradoks, a jednak kabaret z piosenkami, prostymi skeczami, monologiem, reminiscencyjną balladą, kupletami na nutę wiejską i nowomijską. Kabaret, gdyż mamy tu bezpośredni kontakt z widzami, kabaret, gdyż „szaleje” konferansjer gawędziarz Wincenty Kaźmierczak, kabaret ponieważ daje aktualne teksty na aktualne tematy.

Zaczęło się od dziennikarskich reportaży radiowych o folklorze wsi łódzkiej nagrywanych przez Józefa Mozgę. Potem przyszyły publiczne koncerty radiowe najlepszych kapel, potem dołączono do tego gawędy Wincentego Kaźmierczaka, wreszcie doszły krótkie teksty aktorów, których przybywało, przybywało, aż z audycji folklorystycznej utworzyła się prawdziwa instytucja artystyczno-dziennikarska. Dziennikarska w tym sensie, że każda audycja Wesołego Autobusu, a jak wiadomo premiera odbywa się co miesiąc w ostatnią niedzielę o godzinie 15. i jest robiona na określony temat publiczny. Ostatnia np. nagrana przy okazji Wojewódzkiego Zjazdu Związku Młodzieży Wiejskiej ogarnia szeroko wszystkie problemy współczesnej wsi. Opowiada o roli młodzieży w pro-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BALLADY o SAKSOFONACH

Tego akordeonisty świetnie znam już od dawna. Słyszałem go setki razy w w różnych punktach naszego miasta, wszak najczęściej chyba koło pijalni piwa, tuż pod ścianą placu. Widać to miejsce upodobał sobie szczególnie. Do starej, potężnej już podniszczonej harmonii przyczepił male blaszane pudełko, do którego co litościwsi przechodnie

rzucają mu od czasu do czasu okrągłe, większe lub mniejsze monety. Dawniej przypuszczałem, że to właśnie nostalgicznej muzyce łódzkiego Słepiego Metodego zawdzięcza bar „Rekord” swój izawy przydomek. Kiedy zjadłem w „Rekordzie” obiad doszedłem do przekonania, że to fałszywe przypuszczenie. Zresztą ten akordeonista nie

zawsze gra w minorze, nie zawsze „z leżką”. Gdy parę dni temu mijalem go podążając w kierunku placu Niepodległości grał akurat z dużym poczuciem luksemburskiego stylu popularne „Quando, quando”. Niby nie w tym dziwnego. Produkcją się na ulicach artystów — też muszą dbać o repertuar, uatrakcyjnić go w miarę możliwości.

Potęźnie jednak zaskoczył mnie pewien niecodzienny zbieg okoliczności. Otóż gdy przechodziłem przez skrzyżowanie Piotrkowskiej i Tuwima gubiąc powoli śpiw harmonii Słepiego Metodego usłyszałem zdumiony kontynuację melodii „Quando, quando”, której strzępy dola-

gów ulicznych, placów i kłębów słyszy każdego wieczoru ten — modny ostatnio nie słychanie — przebój? He?

I tak właśnie narodził się pomysł napisania reportażu o łódzkich zespołach muzycznych, ich poziomie, zarobkach i pracy. Zaczęłem od liczenia.

ORKIESTRY

Cygańskie zostawiłem w spokoju. Bowiem na razie postanowiłem ograniczyć się do zespołów zawodowych, angażowanych przez LZG. O zespołach amatorskich oraz muzykach ulicznych i wędrownych (wędrują od podwórka do podwórka), od knajpy do knajpy, grają za kieliszek wódki, kufel piwa



tywały do mnie teraz z uroczego ogródka „Tivoli”. Wtedy to zadałem sobie pytanie: ile to łódzkich restauracji, kawiarni i barów, ro-

Dalszy ciąg
na str. 6

Dalszy ciąg
na str. 5

**Łodzianie
1963**



HENRYK RYL

„Teatr Lalek — mówi Henryk Ryl — ma długą, wielowiekową tradycję. W Polsce, stosunkowo niewiele mamy za sobą i w porównaniu choćby z takim teatrem marionetek we Francji, czy Anglii, jesteśmy bardzo ubodzy. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, bo teatr polski jest mało nazwijmy to tak „akademicki”, brak tradycji zmusza do poszukiwań, nieistnienie rygorów do ich tworzenia, złe, bo nie bardzo jest się do czego odwoływać. Występny nasz teatr kukielkowych są zawsze za granicami Polski rewelacja, nasze teatry zachwycają świeżością, odkrywczością, pomysłowością, znakomitymi rozwiązaniami plastycznymi...”

Henryk Ryl pisze książkę w jakimś sensie autobiograficzną. Będzie się ona nazywała „Dziwanna i lalki”. „Kiedyś — mówi, jako zupełnie jeszcze młody człowiek pracowałem na wsi, na Polesiu. Byłem wtedy nauczycielem. Na Polesiu po raz pierwszy w życiu zobaczyłem dziwanna i dotąd myślę, że to najpiękniejsza Lwiaty. Tam też po raz pierwszy usłyszałem od mojego brata, wówczas studenta Uniwersytetu Warszawskiego o istnieniu teatru, w którym występowały lalki. Kierowałem na wsi zespołem amatorskim, wystawialiśmy rozmaite sztuki, ale tak naprawdę dopiero możliwość posłużenia się lalką otworzyła przede mną perspektywę stworzenia prawdziwego teatru.

Napisałem sztukę, zrobiliśmy lalki, urządziliśmy przedstawienie. Ludzie zamiast pieniędzy płacili nam jajkami; dzieci jedno jajko, dorośli — dwa — takie były ceny. Entuzjazm widowni był ogromny. Od tamtego czasu zacząłem czytać, zacząłem się uczyć teatru marionetek. Dziwanna i lalki pozostały na zawsze w moim życiu. Dziwanna jako symbol

urody świata; i lalki wielką w tym świecie moją namiętność.

W czasie wojny Henryk Ryl dwukrotnie ranny i wzięty do niewoli jak wielu polskich oficerów przebywał w obozie. Tu styka się z Leonem Schillerem. W obozie istnieje polski teatr. Schiller prowadził kursy reżyserskie. Ryl zdobywa konieczne kwalifikacje. Gdzieś około 1943 czy 1944 roku zakłada teatr marionetek, który z powodzeniem konkuruje z teatrem żywego aktora. „Kiedyś, to było już po wojnie na północy Niemiec pokazywałem którąś z granych przez nas sztukę amerykańskim spadochroniarzom. Byliśmy przygotowani na wszelkiego rodzaju akcesy. Spadochroniarze byli to ludzie bardzo dzielni, ale zdemoralizowani, wiecznie pijani i trudno było z nimi nawiązać kontakt. Najbardziej niecierpliwym dla nas spadochroniarze zachowywali się spokojnie, nie krzyčili, nie strzelili, lalki potrafiły ich ująć i do nich przemówić. Późniejsze moje doświadczenia wskazują, że teatr lalek ma wielką, nie zawsze wykorzystywaną szansę prawdziwego porozumienia się z widownią”.

Po wojnie Ryl prowadził w Krakowie teatr Grotoska nr 2, potem przyjechał do Łodzi i tu zakłada teatr „Arlekin”. Rozpoczął swoją dykturę w 1948 r. Pierwszą premierą było przedstawienie „Dwa Michały i świat cały”, które to każdy prawdziwy łodzianin pamięta. Potem przez te lata kilkanaście było wiele premier i wiele sukcesów — „Złota rybka”, „Jaszątek”, „Samba i lew...”, „Od dziesiętnastego wieku — mówi dyrektor Ryl — teatr marionetek zaczął służyć młodzieżowej widowni. Robić dobry teatr dla dzieci to bardzo trudne zadanie.

Mamy przecież widzów w różnym wieku, czasem dysproporcje są rażące, a widownia są dzieci sześciolatków i trzydziślatków... Ciągłe mamy kłopoty z tekstami”.

„Czym jest teatr marionetek? Jest teatrem wyobraźni i teatrem spełnianych marzeń. Umowność jest tu daleko bardziej posunięta niż w teatrze żywego aktora. Wszystko jest w naszym teatrze prawdopodobne, wszystko może się wydarzyć, więcej, wszystko zdarza się tak, jak byśmy tego pragnęli. My, lalkarze, jesteśmy zaręczkami. Uważamy, że z naszych osiągnięć korzystają teatry żywego aktora. Ze teatr marionetek wprowadził na sceny zawodowe wszystko to, co dziś się nazywa współczesnością. Umowność, skrótość, wizję plastyczną, która jest sprawą kluczową we współczesnej inscenizacji, wreszcie pewną statyczność i oszczędność środków aktorskiego wyrazu”.

Niedawno teatr „Arlekin” wystąpił w Colwyn Bay w Anglii na festiwalu teatrów lalkowych. Był jedynym teatrem ze wschodniej części Europy.

„Pokazywałem „Kolorowe piosenki”. Nasz występ bardzo się podobał. Wszystkie występowane na festiwalu zespoły były dość tradycyjne, wszystkie dawały programy dla dzieci. Próby inscenizowania w teatrze lalkowym widowisk dla dorosłych są trudne do realizowania i to nie tylko u nas, w Polsce. Przygotowanie widowiska trwa

o wiele dłużej niż w teatrze żywego aktora. Wszystko trzeba przecież stworzyć od nowa. Nawet wtedy, gdy gotowa jest scenografia i lalki, a więc gdy dojdziemy do momentu, w którym pracuje się nad samym tekstem, ustawienie sytuacji trwa dłużej niż w zwykłym teatrze. Aktor lalkowy pracuje bardzo ciężko, wymagamy od niego nie tylko dużej skali głosu (teatr lalkowy to właściwie napisana na głosy ludzkie partytura, rozpiętość głosów ma w widowisku lalkowym ogromną wagę), ale i zręczności i szybkości. A to wymaga często dużego wysiłku fizycznego. W teatrze żywego aktora rekord powodziła to 100 przedstawień. My gramy 700, 800 razy... Tymczasem widzowie dotarli niechętnie do nas przychodzi. I z przyczyn merkantylnych nie możemy zbyt wielu widzów dawać dla dorosłych”. Przypominamy jednak, że Ryl pokazał „Balladynę”, „Lekarza mimo woli”, „Młynek do kawy” i że przedstawienia te zostały sobie dużą sławę.

Zresztą dyrektor Ryl jest nie tylko twórcą i człowiekiem teatru, jest też po trosze teoretykiem, redaktorem czasopisma „Teatr Lalek”, członkiem prezydium Międzynarodowej Organizacji Lalkarzy. „Chciałbym — mówi — by mój teatr lalkowy był teatrem tragedii. Myślę, że w teatrze żywego aktora dzieła tragedii mogą tylko śmieć. Ale wiem, że to same tragedie pokazywane u nas, głęboko wzruszają”.

Na wakacje — dawka optymizmu

Kolejny zespolony lot kosmonautów radzieckich przyćmił na pewien okres wszystkie inne wydarzenia polityczne. Mniej niż na to zasługują, komentowane były przez prasę codziennie nowe fakty w rozwoju stosunków między Wschodem a Zachodem. Fakty te, choć daleki jestem od ich przeceniania, obudziły pewien optymizm co do uregulowania podstawowej dziś sprawy — zawarcia układu o zakazie doświadczeń z bronią nuklearną.

Tak jak ub. roku, kiedy to politycy nie mieli wakacji pracując gorączkowo w okresie lata, tak i w roku bieżącym właśnie na lipiec zapowiedziane jest niezwykle interesujące spotkanie w Moskwie przedstawicieli trzech mocarstw nuklearnych.

Trudno oczywiście stawić jakieś horoskopy, różnice zdań między ZSRR i Stanami Zjednoczonymi są jeszcze zbyt duże, by można je było do końca przewidywać na moskiewskim spotkaniu. Mimo to nie brak głosów komentatorów, zapowiadających sfinalizowanie wspomnianego układu właśnie w wyniku lipcowych rozmów.

Optymizm ten udzielił się również krajom neutralnym, uczestniczącym w genewskich rokowaniach. Przedstawiciele dyplomatyczni tych krajów wyrazili przekonanie, że po przerwie w obradach — obecnie rozpoczętej — z pewnością panować już będzie inny klimat.

Spotkanie moskiewskie, które stało się przedmiotem takiego zainteresowania, jest rezultatem długich rozmów prowadzonych przez wielkie mocarstwa. Nie zaliśmy treści listów wymienianych przez obie strony — widąc jednak korespondencja ta była pożyteczna, skoro uznano za słuszną spotkać się w Moskwie.

Komentatorzy wyprowadzają swój optymizm również z przemówienia Kennedy'ego, wygłoszonego 10 czerwca na uniwersytecie waszyngtońskim. Prezydent Stanów Zjednoczonych wypowiedział tam kilka bardzo rozsądnych myśli. Takim np.

stwierdzeniem, że: „wojna nie ma dziś żadnego sensu”, czy też: „nasze problemy są problemami stworzonymi przez człowieka i dlatego muszą być przez człowieka rozwiązane” — można tylko przyklasnąć.

Premier Chruszczow ocenił to przemówienie jako pozytywne, komentatorzy dopowiedzieli zaś, że jest to najbardziej „pokojowe” od wielu lat wystąpienie prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czyżby zapowiedź nowego powiewu w polityce USA?

W tym mniej więcej czasie nastąpiło jednocześnie porozumienie o utworzeniu tzw. „gorącej linii”, czyli bezpośredniego połączenia dalekopisowego Kreml — Biały Dom.

głos należy właśnie do tych dwóch mocarstw.

I tu znów wypada powrócić do przemówienia Kennedy'ego. Gdyby w ślad za jego słowami poszły czyny! Niestety, ostatnia podróż prezydenta po krajach Europy zachodniej, a szczególnie wizyta w NRF wykazuje, że Stany Zjednoczone stawiają w północno-atlantycznym sojuszu przede wszystkim na Niemcy Zachodnie. Swoje koncepcje utworzenia wielostronnych sił nuklearnych — wobec „nie” de Gaulle'a, zastrzeżeń W. Brytanii i słabości politycznej chadecji we Włoszech — chcą oprzeć o NRF. Co zaś z tego może wynikać pisze wyraźnie „DAILY EXPRESS”:

„Będą oni — mowa o politykach NRF (przyp. W. B.)

Obiecałem jednak Czytelnikom na wakacje — porcje optymizmu. Pozostawmy więc na boku te retoryczne cytania.

Nie bez znaczenia dla sprawy pokoju będzie również polityczne oblicze Watykanu. Pytania, które nurtowały opinię publiczną przed decyzją konklawe: będzie nowy papież podzielił zdanie swego poprzednika, że najwyższym dobrem jest pokój między narodami, czy też nie — doczekają się odpowiedzi. Paweł VI — były arcybiskup Mediolanu, jeden z 44 kardynałów, których mianował za swego pontyfikatu Jan XXIII — zapowiedział kontynuowanie linii poprzedniego popieja. Czy jednak kardynał Montini potrafi z równym skutkiem, jak Jan XXIII — angażować się w tę wielką sprawę? Czy potrafi przewyciężyć konserwatywizm Ottaviano i innych integrystów?

Wszyscy ludzie, choć dzieła ich różne światopoglądy, oczekują od głowy kościoła katolickiego, że bogata spuścizna swego poprzednika, zamknięta w encyklice „Pacem in terris”, będzie rozwijał.

Czym wytłumaczyć, że często wczorajsi przeciwnicy koegzystencji, a więc i pokoju, dziś zmieniają ton swoich wypowiedzi, dostrzegają bezsens wojny?

Chyba przede wszystkim zwycięstwem rozsądku, powszechnym domaganiem się obrony pokoju. Jego alternatywa jest bowiem wojna nuklearna, której rozmiarów nikt nie jest w stanie nakreślić.

Ten właśnie fakt każe politykom nawet w dniach kanikuły usiąść przy okrągłym stole obrad, wszystkim zaś ludziom wierzyć, że rozmowy nie będą bezowocne.

WIESŁAW BEK

W polityce nie będzie „ogórków”

Oczywiście „gorąca linia” nie jest równoznaczna np. z zakazem doświadczeń nuklearnych, czy też redukcją zbrojeń. Nie jest to porozumienie tego rzędu. O jej przydatności przekonały jednak obie strony wydarzenia karaibskie, kiedy to za rozwojem wypadków nie nadążyły dotychczasowe środki łączności. Połączenie zatem spełniać będzie rolę dodatkowego „zamka bezpieczeństwa”.

Zresztą na wspomniane porozumienie trzeba spojrzeć pod jeszcze innym kątem — pierwszego po wojnie dwustronnego porozumienia ZSRR — USA.

Czy to się podoba politykom innych krajów, często mających wygórowane ambicje, czy też nie — prawda jest taka: decydujący

— kontynuować sojusz z Ameryką dopóki nie uzyskają tego, czego pragną — broni nuklearnej. Potem sojusz ten będzie się kruszył, ponieważ nie ma rzeczywistej wspólnoty interesów...”

„Nie — konkluduje dziennik — Niemcy nie są prawdziwymi przyjaciółmi Ameryki”.

Niestety, tych życzliwych uwag Brytyjczyków politycy amerykańscy nie słyszą, pochłonięci idea utrzymania prymatu w bloku atlantyckim i zwalczania gaullistowskich koncepcji „politycznej niezależności Europy”.

Prezydent Stanów Zjednoczonych przyznał, że wojna nie ma dziś żadnego sensu. Jaki jest więc sens dopuszczania Niemiec Zachodnich do broni nuklearnej? Czy nie jest to dawanie dzieciom zapalek do rąk?

WŁAMYWACZ POKRZYWDZENI

Dalszy ciąg
ze str. 1

się włamywacz, aby pozbawić ich tego tu klebuszka wełny, elektrycznej maszyny, starych okularów, tysiąca złotych, orderu? Dlaczego tak czynił? Nie znamy jeszcze nazwiska, ale ono chyba niewiele nam powie. Oficer milicji pokazał mi na chwilę fotografię włamywacza, en face i z profilu. Zobaczyłem młodego mężczyznę z łysiejącą głową i wilgotnymi wargami — to wszystko.

Poszkodowani w liczbie 30 zgromadzili się już na sali. Pułkownik Skwara — mówi o zadowoleniu milicji z możliwości przywrócenia mienia właścicielom. Przestrzega przed przestępcami — mówi o profilaktycznym aspekcie działalności milicji i nagłe dodaje!

Pragnę także przeprosić obecna tu na sali osobę, która została przejęsłowo nie słusznie posądzona...

W czasie gdy przebrzmiały te słowa nastąpił moment w pełni, przenikliwej ciszy. Był więc ktoś, kto na krótko dźwignął musiał brzemień winy włamywacza, siedzi tu też wśród nas, jest jednym z nas — słyszał nasze milczenie.

Wśród poszkodowanych są: profesor uniwersytetu, stare robotnica, księgowy, dziennikarz. Obok starych mężczyzn — piękne dziewczyny. Są odrębni socjalnie i cielesnie, a przecież właśnie te odrębności w nagłym porwywie uczuciowego milczenia czynią z nich żywą grupę. Przedstawiciel PZU namawia do ubezpieczenia mieszkań. Poszkodowani dzięki jej milicji — z własnej inicjatywy deklarują datki na sieroty po poległych milicjantach. Zwolna podchodzą do stołu i odchodzą z odzyskanym mieniem. Wszystkie te przedmioty — od momentu kiedy je utracili nie spoczywały w bezruchu. Ktoś

pokazuje mi zegarek i mówi, że włamywacz wymienił pasek, którym opatrzył inny, leżący jeszcze na stole zegarek. Zrabowane przedmioty biegły w dziwnym groteskowym tańcu nadanym im przez ruchliwe ręce włamywacza — niektóre zostały już sprzedane pięć-krotnie. Oploty w swym groteskowym biegu kołós niewinnego, kogo raz jeszcze przyprowadzono na sali. Włamywacz umiał zacierać ślady. Niektórzy poszkodowani, do chwili odnalezienia ich przez milicję nie wiedzeli, że są poszkodowanymi, nie dostrzegli, że włamywacz był w ich mieszkaniu — są i tacy, którzy podejrzewali o kradzież domowników, członków rodziny nawet i gryząc się odawali, że nie dostrzegli kradzieży. Włamywacz posiał między poszkodowanych różnorakie zło, niektóre włamania oddaliły ojca od syna, żonę od męża, a ci młodzi którymi położył się cień — nie znali często jego kształtu. Czy przemysł kłódki skutki swoich czynów, czy ogarnął je wyobraźnia? Musi mieć przecież silnie rozwinięta wyobraźnię przestępca człowieka, dla którego tak łatwą sprawą było utworzenie spójnego układu między znanym kluczem, a nieznanym jeszcze zamkiem. Podobno cofał się tylko przed takimi zamkami, do których otwarcia niezbędne były klucze z charakterystyczną dziurką w środku — czy nie cofał się nigdy z innego powodu?...

Zegnaną przez pułkownika Słabczyka — poszkodowani opuszczają siedzibę MO. Nie są to już właściwie poszkodowani — odchodzą ze swoją własnością — ci którzy byli pokłóceni odchodzą w zgodzie — ci którzy nieustannie podejrzewali i oskarżali z odzyskaną ufnością. Czy będą w przyszłości uważać? Społeczna dyscyplina również jest ważna, co i najskuteczniejsze wysiłki naszej milicji.

BERNARD SZTAJNERT

ALEKSANDER
NIESMIAŁEK

ZBRODNIARZ I PANNA

Janusz Nasfeter należy do tych nielicznych polskich reżyserów filmowych, z którego nazwiskiem wiąże się cały szereg filmów fabularnych, o dziejach, waznych i cenionych między innymi z tej przyczyny, że przy ich realizacji trzeba wiele wkładu pracy, a także pewnego samozaparcia w uprawianiu trudnego gatunku filmowego jakim jest psychologiczny dramat o dziecku. „Małe dramaty”, „Kolorowe pończochy” to niewątpliwie najbardziej wartościowe i dojrzałe artystycznie filmy Janusza Nasfetera. Toteż kiedy powstał projekt realizacji „Zbrodniarza i panny” pojawiły się głosy wśród krytyki filmowej, które próbowały wyrażać ubolewanie, wątpliwości a nawet ostrzeżenia Nasfetera przed „porzucaniem” wspomnianego już gatunku filmu psychologicznego z małymi bohaterami. Będąc z natury tolerancyjny nie byłem wówczas zachwycony takimi „przestrogam” skierowanymi pod adresem reżysera mającego na swoim koncie kilkadziesiąt krótkometrażówek i kilka wcale niezłych filmów fabularnych, o których wyżej wspominałem. Każdy twórca a tym bardziej doświadczony reżyser filmowy ma prawo do podjęcia tematu mieszczącego się w formach innego gatunku filmowego. Sprawa zaczyna więc być dyskusyjna dopiero wówczas, kiedy możemy zobaczyć gotowy utwór filmowy. Trzeba niestety stwierdzić, że pierwszy film kryminalno-sensacyjny Janusza Nasfetera jest po prostu pomyłką twórcy „Małych dramatów”. Przede wszystkim „Zbrodniarz i panna” to niewypal scenariuszowy. Dziwić się należy, że taką klopską „Kobret” Joe Alexa zechciał Nasfeter adaptować jako scenariusz swojego pierwszego filmowego kryminału. Trudno naprawdę uwierzyć Joe Alexowi, że jakiegokolwiek dobrze działające organa powołane do ścigania przestępców zechciały angażować do wykrycia mordercy jedną osobę, która cało wyszła ze zbrodni bez żadnego napadu; kobiecie, z racji swych psychicznych przeżyć i urazów związanych z krwawym napadem dostateczną nie przerażoną ażeby mogła zabawić się jeszcze w detektywa. Razi przede wszystkim naiwność autora scenariusza, a także buduje akcję filmu, umiejscawiając ją od razu w znanym kurorcie i komfortowym hotelu. Największą scenariusza uzupełniają nie są przez niezdarne i dretwe dialogi; dretwe do tego stopnia, że aktorzy nie wiedzą jak je podawać.

W tym miejscu wkraczamy już w zakres kompetencji reżysera filmu, który niestety, mało, że popełnił podstawowy błąd biorąc na warsztat tak niezdarne i puszczony scenariusz, to niezbyt jeszcze szczęśliwie obsadził główne role. Dotyczy to Ewy Krzyżewskiej i Zbigniewa Cybulskiego. Krzyżewskiej wyraźnie „nie leży” rola prowincjonalnej brzyduli przeobrażonej dzięki naszej milicji w kociaka spędzającego wakacje w modnych Zdrojach w towarzystwie Cybulskiego — kapitana Ziętka. Właśnie Cybulskiego ze wszystkimi gierkami, którymi wielokrotnie ten utalentowany aktor nadmiernie obdarzał odtwarzane postaci w całym szeregu filmów. Szkoda, że po bardzo ciekawej aktorsko-kreatywnej Cybulskiego w filmie Scibora-Rylskiego „Ich dzień powzedni” nie można równie przychylnie napisać o roli w „Zbrodniarzu i pannie”. Tym razem operator Jerzy Lipman, nie odszedł w swych zdjęciach od fachowej poprawności. Czyżby operator wcześniej niż reżyser nie wierzył w powodzenie realizacji filmu? Z tym większym zaniepokojeniem i niechęcią, także niepokojem należy oczekiwać premiery „Ostatniego kursu” wg Joe Alexa w reżyserii Stefana Batorego. Choć właściwie nigdy nie wiadomo z kryminałami, co ich autorzy mogą wymyślić aby czytelnik czy widz kinowy dostawał przysłowiowej gęśi skórki z emocji.

Ze świata filmu



Szwedka — Vania Carlsson życzy Czytelnikom „Mieszanki” miłych wakacji.

Słynny musical, adaptacja „Pygmaliona” Shawa My fair lady, doczekał się wreszcie swojej wersji ekranowej. Po długich i bardzo starannych przygotowaniach przystąpiono właśnie do pierwszych zdjęć. W rolach głównych — Audrey Hepburn i Rex Harrison.

Znany włoski reżyser Luigi Comencini („Wszyscy do domu”) rozpoczął realizację swego nowego filmu „Dziewczyna Bube”, wg przełożonej także i na język polski powieści Carlo Cassola pt. „Moją dziewczyną”. Rolę Mary gra specjalnie w tym celu odmieniona Claudia Cardinale. Aby wcielić się w postać młodzieńkiej, toskańskiej

dziewczyny, Claudia musiała nie tylko zeszczerzyć, obciąć i rozjaśnić włosy. Dzięki temu oglądamy ją w zupełnie nowym niemal neorealizacyjnym wydaniu, nerwową, pełną namietności, a nie jak zwykle chłodną i posagową. Rolę Bube objął bohater „West Side Story” George Chakiris.

Głośny reżyser niemiecki Bernard Wicki, twórca m. in. „Cudu oja Malachiasza”, przystąpił do realizacji filmu opartego na sztuce Dürrenmatta „Wizyta starszej pani”. Główne role w filmie objęli Ingrid Bergman i Anthony Quinn.

Reżyser hiszpański Bardem („Śmierć rowerzysty”, „Głów-

na ulica”) kręci obecnie w Hiszpanii swój nowy film pt. „Przeszła tędy dziewczyna” z Corinne Marchand, słynną gwiazdą filmu Varvy „Cleo między piątą a siódmą” w roli głównej. Partnerem Corinne jest znany nam z filmów de Brooka, Jean Pierre Cassel. Akcja filmu Bardema toczy się w małym miasteczku hiszpańskim, w którym przez pewien okres czasu zatrzymuje się z powodu choroby tancerka z francuskiego music-hallu. Jej obecność zakłóca tok życia spokojnych mieszkańców i powoduje niemało zamieszania w sercach mężczyzn. Ale pewnego dnia pojawia się znów autokar zespołu, Francuzka odjeżdża i wszystko wraca do dawnego porządku. Nic się nie stało... I nie się już więcej nie wydarzy.



Gregory Peck wraz z żoną w Cannes.



Wanda Chwiłkowska i Krzysztof Chamiec w „Igraszki trafu i miłości”.
Fot. Z. KRAJEWSKI

Ostatni tydzień przed „ogórkami”

A więc dorocznym zwyczajem mamy lato i oto weszliśmy w okres letniej kanki: przysłowiowej, zniemawidzonej przez tę część obywateli miast (obawiam się, że jest ich większość), którzy nie mają szczęścia w tym czasie urlopować. Teatry wyjeżdżają na odpoczynek, sezon w pełni, a i pogoda dopisuje — jaka więc czeka nas w tym roku letnia przyszłość telewizyjna? — Właśnie po-

zegnał się z nami „Wielokropek”, niedawno zaczęły, liczący zaledwie sześć numerów, nawet ten nienajważniejszy w końcu „Wielokropek” urlopuje. Łódź nada pożegnalną przed urlopem „Muzykę łatwą, lekką, i przyjemną. „Wielka gra” — teleturniej też odpoczywa w czasach. Więc co nam zostanie z telewizji? Gdyby na podstawie ostatnich lat prorokować, telewizyjne lato

problemowi tzw. nowoczesnej moralności i współczesnej młodzieży poświęcił Jean Pierre Mocky („Podrywacz”) swój nowy film zatytułowany „Dziewice”. Film ma w zasadzie charakter nowelowy i opowiada historię pięciu dziewcząt, które po raz pierwszy w swym życiu spotykają miłość. Grają m. in. Charles Aznavour, Gerard Blain, Stefania Sandrelli.

Dużą sensację wzbudził amerykański film „Zły Amerykanin”, reżyserii George Englund wg głośnej książki dwóch dziennikarzy Burdicha i Lederera. Film ma charakter wybitnie polityczny i krytykuje ostro metody amerykańskiej polityki w Azji, wskazując na ich przykre dla samych Stanów Zjednoczonych skutki. Rolę złego Amerykanina, dyplomaty na Dalekim Wschodzie gra Marlon Brando. U jego boku występuje m. in. siostra Mariona — Jocelyn Brando i Elji Okada, znany z filmu „Hiroszima, moja miłość”.

M. K.

MIESZANKA FILMOWA



Młoda aktorka fińska Myriam Michelson prezentuje najnowszy kostium na wakacje.

Anno Domini 1963 — byłby to smutny prognostyk. W ubiegłym przecie roku letnia kankiula rozciągnęła się w telewizji aż na miesiąc jesienne, chociaż lato nie należało do pogodnych, a teraz nam Wicherek przepowiada piękne słońce.

Lecz — odwracając sytuację i przydając jej chociaż trochę optymizmu, blasku, należy powiedzieć, że jak dotąd nie odczuliśmy w programie telewizyjnym gorącego pakowania maniaków. Ostatni tydzień zaliczamy do najciekawszych, przede wszystkim dzięki teatralnym premierom. Inne pozycje programu jakoś uszły mojej uwadze. Przedurlopowy tydzień rozpoczął się wybitnym spektaklem Teatru Telewizyjnego — „Pierwszym dniem wolności” „Leona Kruczkowskiego. Telewizowie, Warszawy i Łodzi, którzy oglądali tę sztukę w teatrach, mieli okazję konfrontacji swoich wrażeń teatralnych z telewizyjnymi. U mnie wypadła ona na korzyść przedstawienia w telewizji, które reżyserował Adam Hanuszkiewicz. Nadał on sztuce Kruczkowskiego klasyczną jedność miejsca i czasu przez wyrugowanie postaci ogrodnika i Anzelma, zaś dialog przeprowadzał głównie na zbliżeniach. Jeżeli w „Zmartwychstaniu” Tołstoja (również reżyseria Hanuszkiewicza) aktor ginął w dalekich planach monumentalnej wręcz dekoracji, to w „Pierwszym dniu wolności” eksponowano go na plan pierwszy, dekoracje czyniąc tym zupełnie mało ważnym. Dzięki ekspresji zbliżenia — widz, siedzący wygodnie na krześle w swoim własnym domu, przenosił się między aktorów, był właśnie tam, gdzie toczyła się akcja sztuki, słyszał kwestie zwrócone do siebie. Hanuszkiewicz osłaniał w ten sposób prowadzonej sztuki zupełny kontakt z widzem, jego „face to face” z aktorem.

„Pierwszy dzień wolności” był chyba najlepszą sztuką ostatniego miesiąca. Ani Andrzej Konie, ani Lucyna Tychowa, reżyserujący na zmianę poniedziałkowy Teatr Telewizyjny, nie potrafili dotąd osiągnąć tego pułapu możliwości artystycznych i realizatorskich, jakie za każdym razem prezentuje Hanuszkiewicz w swoich spektaklach. Odwaga adaptacji, przystosowanie jej do warunków telewizyjnej, telewizyjność sztuki, poszukiwanie coraz to innych metod przekazywania przyczyniają się do osobistego sukcesu Hanuszkiewicza jako reżysera, lecz przede wszystkim duża telewizywność, która otrzymuje widownię interesującą, pod każdym względem. Nie uważam „Pierwszego dnia wolności” za spektakl idealny, trochę zbyt zawiady wykonawczy, ale w roli Kubiczych — ani Combrzyńska, ani Kwakowska nie ubyłaby im spróbować, na „aktywne” — korzyść spektaklu przemawiają role męskie, wszystkie pierwszorzędnym (na czoło wysunęli się S. Jaskiewicz i A. Hanuszkiewicz).

Drugą ważną pozycją teatralną tygodnia — myślę nawet, że ostatniego kwartału — było „15 sekund” J. Prymanowskiego, w adaptacji i reżyserii Stefana Szlachtycza. Umowny i niezwykle śliki tekst — ostatnie piętnaście sekund życia przed śmiercią czworga ludzi zamkniętych w pudełku trąfionego czołgu, ich ostatnie piętnaście sekund myśli, rozciągnięte na prawie godzinne widowisko było z pewnością zadaniem nie lada dla reżysera. Aby nie zgubić dramatycznego napięcia Szlachtycz zastosował w jednym widowisku telewizyjnym kilka różnorodnych bardzo i dotąd nigdy nie łączonych ze sobą środków artystycznych. Mieliśmy więc teatr eksperymentalny: pusta scena, pogłębiona przez czarne tło, aktorzy siedzący na zwykłych

krzesłach, gdzie jedynymi realnymi rekwizytami były ich kostiumy: mundury czołgistów, mieliśmy też świetnie wmontowany film, który nadawał sztuce element autentyzmu. Inscenizacja Szlachtycza — nowatorska, odważnie poszukująca nowych form i środków wyrazu, łącząca teatr z filmem, zaś teatr i film w konsekwentną, telewizyjną całość, jest chyba — obok „Wesela” (reżysera Hanuszkiewicza) jedną z ważniejszych prób artystycznych w telewizji, prób uwiecznionych całkowicie powodzeniem. To było bardzo ważne przedstawienie, warto je sobie zapamiętać, jak również warto zapamiętać nazwisko jego twórcy.

Teatr Popularny — tym razem w reżyserii I. Kanickiego — wystawił sztukę z przed dwustu lat: „Igraszki trafu i miłości” Marivaux. Przedstawienie w sumie urocze i poprawne, ale nie wymagające szerszego omówienia. Miejmy nadzieję, że w nowym sezonie Łódzki teatr telewizyjny przestanie ogrzać za siebie w swoim repertuarze do przypomnienia starych utworów, które — oczywiście jest przyjemnie od czasu do czasu obejrzeć — byle nie za często.

Czwartą premierą telewizyjną tygodnia była komedia Marianowicza i Minkiewicza — „Madam Sans Gene”, przy której wszyscy chyba ubawiliśmy się doskonale, mając rekompensatę za nudną i archaiczną programowo niedzielę. Czy ta niedziela była zwiastunem czekającej nas wakacyjnej kanki w telewizji? Och, oby nie...

KOWALSKI

PLOTKI I FAKTY ZE ŚWIATA

MINISTER WOJNY I KOCIAK



Młodzianka Christa Wanninger w rozmowie telefonicznej z jednym ze swych 140 wielbicieli.

Sprawa byłego ministra wojny W. Brytanii Johna Profumo i jego przyjaciółki — modelki Christine Keeler, ciągle jeszcze znajduje się w centrum uwagi pism codziennych i tygodników oraz opinii publicznej. Od piątku (28 czerwca) przesuwają się przed sądem angielskim uczestnicy i świadkowie tej afery, która stała się przyczyną kryzysu w brytyjskim gabinecie rządowym. Ministra Profumo, ożenionego ze znakomitą, lecz już nie występującą aktorką filmową Valerie Hobson (znana z filmu „Szlachetwo zobowiązuje” i narażenie na szwank dobrego imienia.

A kimże jest owa Christine Keeler? Liczy lat 21, czerwonołosa, o długich nogach (aż do samej szyi — jak żartują satyrycy). Pochodzi ze środowiska robotniczego. Wraz z rodzicami mieszkała w starym, wyremontowanym wagonie kolejowym w Staines. Gdy Christine Keeler skończyła lat 14, porzuciła dom rodzinny, mając się różnych zajęć. A więc była ekspedientką w sklepie, fryzjerką, kelnerką, a następnie tancerką w nocnym lokalu. Aż napotczył się osteopa-

(lekarz-masażysta) dr Stephen Ward, lat 50, który ponadto uprawia malarstwo i pośredniczy w zawieraniu znajomości z dziewczętami, które — jak sam powiada — posiadają trzy zalety: są młode, ładne i mają telefon. „Zaopiekował się” on Christine Keeler i poznał ją z wieloma ludźmi. A dr Ward nie zawiera znajomości z byle kim. Są to przeważnie wysoko postawione osobistości w hierarchii państwowej i towarzyskiej.

Kiedy w końcu wyszło wszystko na jaw i dr Warda zaarrestowano, pierwszego dnia pobytu w celi wypalił ze zdenerwowania 150 papierosów. Jednakże Christine Keeler nie wydaje się całą tą sprawą nazbyt przejętą. Przeciwnie. Robi wrażenie zadowolonej. Wyobraża sobie pewnie, że w ten sposób stanie się głośna i w atmosferze skandalu zrobi karierę. Ano zobaczymy.

OFIARA MIŁOŚCI CZY PRZYGODY?

W maju tego roku pod drzwiami jednego z domów w Rzymie znaleziono na schodach młodą dziewczynę. Mia-

ła lat 22, nazywała się Christa Wanninger, pochodziła z Monachium, gdzie ojciec jej jest właścicielem powszechnie znanej fabryki obuwia.

Niezłany morderca zabił Christę przy pomocy siedmiu pchnięć nożem. Przy zmarłej znaleziono notes, w którym miała 140 adresów różnych mężczyzn ze sfer filmowych, przemysłowych, teatralnych itp. Podobnie jak Christine Keeler i Christa Wanninger była modelką, ale marzyła jej się kariera artystyczna. W Rzymie miała narzeczonego, Włocha Angelo Galassi oraz przyjaciółkę Gerde Hodapp, również Niemkę, która — jak wiele dziewcząt im podobnych — przyjechała do Rzymu w poszukiwaniu możliwości życiowych. Właśnie pod drzwiami tej przyjaciółki znaleziono Christę. Kto ją zabił? Zazdrosna koleżanka, czy zazdrosny narzeczony?

300 policjantów włoskich ma za zadanie przesłuchać tylko 140 mężczyzn, których adresy znajdują się w notesie Christy Wanninger.

Jest to nowa sensacja na gruncie rzymskim, która oburzyła i wstrząsnęła jedynych, zaciekała drugich, a przerażala — jeszcze innych.

OSOBLIWI PAMIĘTIŃK

Niejakim Clinton Duffy, który przez dwanaście lat (1940-1952) był pracownikiem więzienia amerykańskiego w San Quentin, wydał w Londynie książkę pt. „88 Mann and Two Women” (88 mężczyzn i dwie kobiety). Tytuł ten oznacza liczbę osób, zasądzonych na śmierć, którym Duffy towarzyszył od momentu ich uwięzienia aż do chwili egzekucji.

Osobliwy ten pamiętnik obfituje w opisy zachowań się ludzi, którzy wiedzą, że muszą umrzeć. Duffy relacjonuje z epickim spokojem ostatnie przedśmierne życzenia skazanych. Oto np. Graham Hill, który jako dziesięcioletni chłopiec wszedł na drogę zbrodni, na kilka godzin przed śmiercią wyraził życzenie, aby mu zagrano „Opowieści lasku wiedeńskiego” Jana Straussa. Kiedy się okazało, że płyty tej nie można było zdobyć w całym mieście, orkiestra więzienna sporządziła nagranie i na adaptację więziennym Graham Hill mógł usłyszeć po raz ostatni swoją ulubioną melodię.

W tymże więzieniu poniósł śmierć w r. 1960 słynny Ca-

ryl Chessman, którego książka pt. „Cela śmierci 2455” stała się bestsellerem. Skazani umierają w tzw. celi gazowej. Duffy pisze, iż na pytanie, stawiane nowoprzybyłym, jak wyobrażają sobie śmierć, odpowiadali oni: „Jak wielki sen...”

SZKOŁA GENIUSZÓW

Graf Soltikow, lat 60, zamieszkały stale w Monachium, znany był do niedawna jedynie jako autor bezpretensjonalnych powieści, drukowanych w magazynach ilustrowanych pt. „Czy jedna kobieta to dosyć?” albo: „Oczy, które nie znają miłości”. Obecnie przybył mu nowy tytuł do chwwały. Oto graf Soltikow założył w swojej obszernej willi instytut dla talentowanych. Założeniem tego instytutu jest: pomagać tym ludziom, którzy obrali niewłaściwy zawód czyli — mówiąc poetycznie — minęli się z powołaniem. Chętnych przyjmuje graf Soltikow z trzech krajów: Niemiec, Austrii i Szwajcarii, a wśród pedagogów jest pięciu wybitnych profesorów.

Dla uczestników zakładu przewidziane są specjalne badania testowe, wśród których znajduje się 250 zadań rachunkowych, wiele pytań żartobliwych i tzw. pułapek. A wszystko po to, by gruntownie zbadać i określić stopień inteligencji każdego petyta oraz jego uzdolnienia. Jedną z kwestii testowych zaczyna się następująco: „Jak wiadomo, Japończycy pozabawieni są zupełnie zębów mądrości...”

Instytut Soltikowa, wzorowany na zakładzie angielskim „Mensa” (istniejącym już od lat 18 i liczącym 1.700 członków) pragnie przy pomocy tych testów wyłonić najbardziej zdolnych i nimi się zająć przede wszystkim. Zamierzają Soltikowa idą dalej. Bowiem gromadzi on nie tylko talenty, ale i szuka również mecenasów którzy by opłacali niezamowny pobyt w jego zakładzie, a także prędyby pomoc w organizowaniu swoim podopiecznym właściwych partnerów życiowych. Jako że — jego zdaniem — cho- dzi również o to, aby żaden Goethe nie pisał do końca życia wegetować przy boku jakiejś tam Christiny Vulpius.

A mówią, że nie ma na świecie oryginałów. Jest ich pod dpałtkiem, może nawet w nadmiarze.

Wg tyg. zachodnich oprac. JOT

EWA SULIBORSKA

„FIZYCY” albo teatr publicysty

Józef Gruda zobaczył w sztuce Dürrenmatta dość jednoznacznie brzmiącą tezę. W jego realizacji jest to sztuka agitująca i pełna oskarżycielskiej pasji. „Funkcja teatru współczesnego jest prosta; istnieje on po to, żeby opowiedzieć jakąś historię” — pisał Dürrenmatt (Dialog 4 1963). Oto mamy na scenie współczesny dom dla obłąkanych, mieści się on w zamku bardzo starej niemieckiej rodziny i mamy trzech fizyków. Dwóch służy wywiadowi wrogich sobie mocarstw, jeden jest autorem fundamentalnych dla współczesnej fizyki odkryć. Wszystko, co stanowi tu tzw. akcję sceniczną, jest dla Grudy mało istotne. Istotne pozostaje tylko to, co historia fizyków, którą opowiada Dürrenmatt, oznacza. Ważna jest teza sztuki, jej wymowa, jej podporządkował Gruda przedstawienie. I oto jesteśmy świadkami autentycznej interwencji w sprawę współczesności. Stajemy wobec najautentyczniej zaangażowanego teatru.

Gruda zamknął „Fizyków” kłamrą. Kazał narratorowi wypowiedzieć 21 tez autora „Wizyty starszej pani” i nimi zamknął przedstawienie. „Dramaturgia może chytrze zmusić widza, aby stanął w obliczu rzeczywistości” — brzmi ostatnie słowa przedstawienia. Oto odkrycia Möbiusa dostają się do rąk szalonego doktora Zahnd. Czarna krata ocenia fizyków od świata. Ich wołania „Jestem Izaak Newton. Jestem Albert Einstein” — pozostają bez odpowiedzi. A dla Grudy będzie to scena w przedstawieniu najważniejsza. Zbuduje ją z wielkiego krzyku uwiecznionych fizyków. Scena ta posłuży za egzemplifikację tezy i będzie ostatecznym ukoronowaniem przedstawienia. „Rzeczy raz pomyślanej nie da się cofnąć — powie Möbius. Nie ma bowiem ucieczki od konsekwencji myślenia. Światem rządzą szaleńcy i wszystko prowadzi do ostatecznej zguby, ale nim ona nastąpi posłuchajcie blednych fizyków, oni ostrzegają, są bezradni, ale ostrzegają, nim nastąpi zagłada, pomyślcie o konsekwencjach ludzkiego działania — oto co chciał w pierwszym rzędzie powiedzieć nam Gruda.

„Fizycy” mimo dość jednoznacznie brzmiącej tezy są sztuką przewrotną. Möbius, w którego losach zamknął Dürrenmatt współczesną wersję mity Edypa chcąc uniknąć katastrofy jednocześnie ją przywołuje. Dürrenmatt jest zafascynowany problemą



Scena zbiorowa z „Fizyków” Dürrenmatta. Fot. Z. Myszowska

tyką moralną. Kogóż bowiem należy obciążać winą, skoro winę ponoszą wszyscy? I jakż można ponosić odpowiedzialność za czyny, których wykonanie przerasta możliwości jednego człowieka? „Fizyków” znać można za moralitet, ale moralitet pozba wiony moralą, jakimż moralitetem opatrywać świat dążący do zagłady?

Dürrenmatt opowiada historię o trzech fizykach i szalonego doktora Zahnd, by zadać kilka pytań. Ale nie po to, by udzielić kilku odpowiedzi. „Fizycy” są komedią. O tym nie można zapominać. I to komedia utkana z dość cennej materii. Mówi się tu żartem i serio, kpi się i agituje. Elementy tragedii mieszają się z groteską i farsą. Każda scena wymaga przyjęcia innej stylizacji teatralnej. Grudę zasugerowała teza sztuki. Zainteresował się tylko tym, co jest w „Fizykach”, albo raczej co być może odczytane za ostrzeżenie dane światu przed ostateczną, atomową zagładą. Potraktował tekst sztuki z całą powagą i z powagą go rozegrał. Stworzył w ten sposób teatr podporządkowany publicystycznej tezie, ale teatr pozbawiony należytej argumentacji, tej bowiem w sztuce Dürrenmatta nie odnalazł.

Można, rzecz oczywista, tak

zagrać „Fizyków”. I chwalił trzeba konsekwencję reżysera (mówiąc nawiasem podobne zabiegi, tylko że połowicznie wykonał Tadeusz Kozłowski w toruńskiej inscenizacji tej sztuki), choć wolałbym, by spektakl realizował zamierzenia autora i by zagrano „Fizyków” tak jak sugeruje autor.

W przedstawieniu łódzkim i myślę, że stało się to trochę wbrew woli reżysera, wymiarów postaci z wielkiej tragedii nabrała postać doktor Zahnd. W interpretacji Ewy Zdzieszyskiej wybiega ona daleko poza rany spektaklu. Zdzieszyska zagrała wielką damę, świadomą wielkości swego rodu i pełną gorczy starzejącą się kobietę zdeterminowaną swoim kalekim ciałem. Zagrała osobę obdarzoną mądrością i dobrocią, pełną cnót i miłosierdzia, grając jednocześnie kogós opełnionego namietnościami, żądającego sławy, bogactwa i uwielbienia. Jej doktor Zahnd była piękna i odrażająca, godna pogardy i uwielbienia. szalona i nieszalona równocześnie.

Zdzieszyska wygrała wszystkie podteksty, wszystkie psychologiczne niuansy roli. Zbudowała ją konsekwentnie i precyzyjnie. Gdy po raz pierwszy ukazuje się na scenie nie wydała się niczym jak

tylko starą, zmęczoną kobietą. Ma niewielki garb, ledwie zaznaczony zgięciem jednego ramienia i lekką pociągą w czasie chodzenia nogą (świetnie podpatrzone szczegóły). Zdzieszyska dodaje do tej postaci niewiele, jeszcze tylko kilka charakterystycznych szczegółów (choćby gest jakim pani Zahnd szuka papierosów w kieszeni białego fartucha). W scenie finałowej mówi o królu Salomonie, o koncernie, wydaje rozkazy... ale demaskacja szalenstwa jest tylko pozorną. Zdzieszyska wchodzi na scenę z „gotowym”, tylko jakby przy- czajonym szalenstwem doktor Zahnd. Rola demonstruje różne stropy osobowości lekarki, całą złożoność mechanizmów i imperatywów, którym człowiek podlega. Möbius jest w tym przedstawieniu człowiekiem słabym, pełnym wątpliwości intelektualista. Jest nie równym partnerem w grze o losy świata. Nie obdarzono go ani siłą, ani natchnieniem. Szonert zagrał Möbiusa zgodnie z intencjami reżysera. I rolę tę należy wyróżnić. Podobnie jak wyróżnić trzeba całe przedstawienie i wszystkie występujące w nim osoby.

Teatr Powszechny — „Fizycy” Friedrich Dürrenmatt, reż. Józef Gruda. Scen. Jan Kosiński.

ANDRZEJ KEMPA

Przyjemność lektury chwila syntezy

W powodzi literatury pamiętnikarskiej, zalewającej półki księgarń, natrafiamy coraz częściej na osobiste wypowiedzi ludzi związanych zawodowo z procesem powstawania książki. Na przestrzeni ostatnich kilku lat do- liczyć by się można około dziesięciu tomów wspomnień dawnych wydawców, bibliofilów i księgarzy. Właśnie leży przede mną niewielka książeczka starego księgarza, który opowiedział w niej o trudach swojej półwiekowej pracy w służbie książki polskiej.

Przerzucając karty pamiętnika nasuwa się piszącemu te słowa pytanie: czym wytłumaczyć rosnące wciąż zainteresowanie pamiętnikarzy książką polską i ludźmi, biorącymi udział w jej upowszechnianiu. Najistotniejszym chyba czynnikiem warunkującym owo zainteresowanie jest fakt nacjonalizacji mon-

polizacja handlu książką, dwa procesy, które dokonały się w naszych czasach. Indywidualny trud jednostek zastąpił i zorganizowaną działalność ogółu. Lata egzystencji prywatnych firm wydawniczych i księgarskich należą obecnie do przeszłości i jako zjawisko już historyczne wymagają rejestracji, jeśli nie w naukowych opracowaniach przedmiotu, to przynajmniej w barwnej relacji pamiętnikarskiego opisu.

Wszyscy dotychczasowi autorzy wspomnień, jak Arct, Fiszler, Mortkowicz-Olczakowa, Jachowski i inni, starali się przedstawić drogę, jaką musiała według praw kapita-



Ideaty życiowe (III)

Życie ma to do siebie, że dewaluje jedno pojęcie rzeczywistości i sztuki, intronizując inne. Problem dewaluacji pojęć jest związany z ich funkcjonalnością, z ich rolą życiową. Mówiąc — rolą — nie mam tu na myśli, że życie jest teatrem. Na pewno nie. Ani nie mam na myśli, że życie jest czymś, co należy uprawiać. Może raczej kultuwać. Kultuwanie wartości, którymi wielu z nas tak nonszalancko szafuje jest godne zastanowienia.

Sposób w jaki intronizujemy pojęcia i dewaluujemy je ab sorbowaliśmy w młodości Greków, którzy mieli niewzruszone zasady, etykę tak apokaliptycznie surową, że jak na gust dzisiejszy — to zastanawiające.

Czasy nowożytne ośmieszyły miłość, narodziny i śmierć. Nie wydaje mi się, żeby coś dobrego z tego wyniknęło. Po waga śmierci jest powagą natury. Ale czyż sama natura nie ośmiesza śmierci wiosną, filuternymi kwiatkami, które są korektą ceremonii i patosu trzymy? Nowe źródła komizmu tryskają nieustannie i podmywają nieustannie niejedną kolumnę etyki.

Greki intronizowali Edypa, najwyższą sprawiedliwość ludzkości, wydając wyrok na siebie. Edyp nie wiedział z kim żyje, kim jest jego żona, nie wiedział z kogo jest urodzony. Kim jesteś dla tych, których nazywasz swoimi, a którzy żyją lub są w grobach? — pytał Tejrezjasz.

Zapewne nieszczęścia Teb, to nieszczęścia prowincjonalnego miasteczka. Pojęcie greckiej sprawiedliwości, takie jakie znamy z „Króla Edypa” jest wielce instruktywne. Jeżeli się zważy zaangażowanie natury w ludzkie sprawy, co klasycy lubili, rozumieli, doceniali, i przecuwały może najbardziej, spotykamy się z systemem sprawiedliwości sta rym i nowym — jednocześnie. Freud wprowadził pojęcie kompleksu Edypa. To pojęcie ma na pewno wiele podstaw w psychopatologii rozwoju dziecka, ale rozwój człowieka, ludzkości — polega przecież na detronizowaniu tych części strukturalnych przeszłości, które nie mogą stanowić komponentów przyszłości. Interesuje mnie natomiast inny fakt, w jakim momencie dowiadujemy się o losach Edypa i sposób, w jaki Kreon wykorzystuje kompleks Edypa. Dewiza Kreona jest znamienita. Greckie propozycje etyki, a ściślej Sofoklesa, to ranga, powtarzam, wysoka. Klasy-

czym to godność, poczucie odpowiedzialności przed sobą samym. Edyp, kiedy uświadamiono mu, że jest zabójcą własnego ojca i mężem własnej matki idzie do sypialni Jokasty, aby wyznaczyć sobie sprawiedliwość. Odpowiedzialność wobec siebie samego to etyka klasycyzmu, to etyka humanizmu. Prawo, restrykcje, konwencje, psychologiczna i administracyjna machina inwigilacji natury ludzkiej są bliźniętami powołaną przez czasy nowożytne — wobec sprawiedliwości proponowanej przez tragików greckich.

Zważmy, że Edyp jest u szczytu powodzenia, bo Teby niszczone przez tajemniczą chorobę potraktujemy jako akcesoria poetyckie — kiedy wymierza sobie sprawiedliwość. A kto w historii nowożytnej chciał ponieść odpowiedzialność u szczytu powodzenia?

Stanisław Ignacy Witkiewicz swoim myśleniem artystycznym zbliża nas do tego typu myślenia. S. I. Witkiewicz miał — moim zdaniem — kompleks niezniszczalnych tożsamości, na który prawdopodobnie chorowała elita inteligencji polskiej dwudziestolecia międzywojennego. Zwątpienie było finałem.

Edyp-Krół poucza nas jak nieszczęścia prowincjonalnego miasteczka mogą stać się wielką lekcją postępowania. Sprawiedliwość była najwyższym ideałem życiowym Edypa, sprawiedliwość intronizowana, rzeczywistość, biologiczna i abstrakcyjna. I tutaj zatrzymajmy się na chwilę. Zajmijmy się postacią Kreona, która jest zainteresowana w intronizowaniu powagi pojęcia miłości i strzeżenia czystości tego pojęcia. Freud dawno ustalił, o pisał kompleks Edypa. Chciałbym dodać — Kreon skorzystał z kompleksu Edypa. Ścisłej, Kreon skorzystał z naiwnej wiary Edypa. Bo trzeba zważyć, k t o relacjonuje postać Edypa. Grecja była naszym posagiem, bez zapachu bebeczów. Freud doskonale przewidywał sny. Ale do podświadomości wdarł się wytrychem. Połowa XX wieku w gorączkowym przewartościowaniu pojęć, dewaluowaniu jednych, intronizowaniu drugich korzystała z różnych chwytów.

To u Becketta można odczytać tezę: „Nie zabawiaj sięgaj się nieszczęść”, w „Radosnym dniu” — jak gdyby dementii artystycznej — korekcie, refleksyjnej, ludzkiej — „na wet w najgorszej sytuacji jest nadzieja”.

faktów. W roku 1907 nie mogła istnieć przecież antykwarnia Leona Asa, bo jej właściciel został zamordowany 5 marca 1893 r. Szwel Kinkulin, zapewne syn Szewla, tego księgarza ulicznego z gawędy Syrokomli, zmarłego w 1883 roku, poszedł w ślady ojca i pracą wydawniczą się nie parął, a zmarł 12 lutego 1908 r. jako bardzo sędziwy starzec.

Najmniej interesujący wydaje się rozdział końcowy, gdzie autor przedstawia kilka sylwetek czynnych obecnie zawodowo księgarzy łódzkich, szermując nadmiernie epitetami w rodzaju „utalentowani”, „o nieprzeciętnej kulturze”. O jednym z aktywnych działaczy łódzkiego środowiska księgarskiego pisze Męczyński arbitralnie, że „Jego zasługi w księgarstwie przejdą do historii”. W pisanych z myślą o druku pamiętnikach tego rodzaju sformułowania rażą sztucznością, nie przynosząc zaszczytu charakteryzowanemu osobom.

W sumie jednak wspomnienia T. Męczyńskiego warte są lektury, choć nie wyszły spod pióra pisarza-profesjonalisty. A dla przyszłych autorów nie napisanej do dziś historii księgarstwa polskiego stanowić będą ważki poprzez swą treść materiał źródłowy.

x) Tadeusz Męczyński; Lata z książką. Wspomnienia księgarza 1907—1957. 1962 WL, s. 121. zł 8,00.



Kapela i zespół

WESOLEY AUTOBUS

Dalszy ciąg ze str. 1

cesie unowocześniania gospodarki, rozwoju kultury i oświaty, wytykając błędy i przegięcia. Nie robi tego, oczywiście, z tak zwierzęcą powagą jak wyluszczył to autor powyższych słów. Ma jednak wiele z efektownego i efektywnego dziennikarstwa, w którym artykuł wstępny jest ujęty w formę kupletów, reportaży w relacje redaktora Kolanki, wypowiedzi chłopów w balladę — dialog, bądź w skecz, radiową operetkę, piosenkę. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie w czym tkwi źródło powodzenia tej audycji radiowej nagrywanej na wiejskich estradach, przy widowni liczącej raz, jak w Wolborzu 40 tysięcy widzów, innym razem jak w Krwonach 3 tysiące, czy jak w Brzeźnie 400 osób, więcej już sala nie mieściła. Chyba w tym, że „Autobus” odpowiada na aktualne problemy wsi, „siedzi” w wiejskich sprawach, doskonale je zna, wie co boli, wie dlaczego, wie kogo bić i bić się nie boi. Od dziennikarskiego zbierania materiału do audycji, od wielu godzin rozmów z chłopami, kierownikami kółek rolniczych, gminnych spółdzielni, zespołów artystycznych, nauczycielami, władz miejscowych, do tekstu monologu czy piosenki droga jest długa ale prosta. Na jej końcu autor i aktor stają przed obliczem swoich informatorów jako widzów i słuchaczy i „sędziów”. Tu sprawdza się czy mają rację, czy rzecz się u dała, czy nie. Trzeba mieć dużo odwagi. To nie to co autor piszący do gazety, niemal nie widzacy swego odbiorcy, skryty za płachtą papieru. Tu odbiorcy stoją wpa trzeńi w usta aktora i autora. Jeśli mówią prawdę nawet gorzko, jeżeli ich myśli, spostrzeżenia, uwagi i pomysły satyryczne czy humorystyczne są trafne, celne potwierdzają ogólne sady i obserwacje, widz sownie im to nagrodzi. Ot i cała tajemni-

Trudno to sobie wyobrazić, blisko jedna trzecia ludności Polski! Słucha wieś i miasto, bo w „Autobusie” są przede wszystkim sprawy ludzkie a nie wiejskie czy wiejskie.

Nie wszędzie oczywiście przyjazd zespołu jest takim wydarzeniem jak to opisano na początku. Przeważnie jednak jest. Pożegnaniu z pewnym sołtysiem trwało dobrą godzinę i wymagało narażenia niejednej wątroby na atak z powodu nadużycia produktu destylacji ziemniaka, którego to produktu sołtys miał pełne kieszenie. Ano cóż robić, to jedna z podstawowych form wyrażenia wdzięczności w tym kraju. Ale przecież wdzięczność wiejskiej i małomiasteczkowej publiczności jest najcenniejszą nagrodą za męczące podróże, niewygody i twórcze zmagania kilkunoosobowego zespołu realizatorów „Wesołego Autobusu”.

Oblicza się skromnie, że tej audycji słucha około 10 milionów słuchaczy radia.

Józef MOZGA

dziennikarz, radiowiec od kilkunastu lat. Przed wojną współpracował z prasą ludową. Realizator wielu audycji folklorystycznych, autor tekstów satyrycznych i gawęd.

— Jest Pan szefem „Wesołego Autobusu”, może więc poda nam Pan nieco cyfr dotyczących tej popularnej audycji? — Ze obchodzimy pięćdziesiątą rocznicę, to Pan wie. No cóż, w tym czasie zrealizowaliśmy 57 tzw. audycji programowych, czyli takich jakie radiostuchacze mogli słyszeć w obu programach PR. Niezależnie od audycji programowych realizujemy koncerty na zaproszenia różnych instytucji i organizacji (np. rocznica, przekazanie sztandar daru przechodniego itp.). Tego typu koncertów w samym tylko roku 1962 zrealizowaliśmy około 60. Nasz zespół aktorski liczy 5—7 osób, czyli jest mały, a co za tym idzie bardziej operatywny. Widzów naszych koncertów — nie licząc milionów radiostuchaczy — mieliśmy około 300 tysięcy. Czasem występujemy dla 400 osób, czasem widownia liczy 40.000, jak na przykład na uroczystościach w Wolborzu.

— Wiadomo, że Pan odkrył Wincentego Kaźmierczaka — gawędziarza i „kierowcę” „Autobusu”.

— To było bardzo dawno. Najpierw nagraliśmy kilka gawęd w ramach audycji folklorystycznych. Potem namówił me, aby prowadził konferansjerkę na konkursach kapel ludowych. To podsunęło mi myśl staję, cyklicznej audycji, gdzie elementy folkloru (gawęda, kapela ludowa), połączone byłyby z tekstami satyrycznymi w wykonaniu zawodowych aktorów. Połączenie nieco ryzykowne, ale jak powiedziałem do nasza pięćdziesiątka praktyka, okazało się trafne i słuchaczom audycja się podoba.

Wojciech DRYGAS

dziennikarz, satyryk, autor kilku tomów humoresek. Od czterdziestu lat związany z Radiem. Współtwórca (razem z Józefem Mozgą) „Wesołego Autobusu”.

— Współpracuje Pan z tą audycją od samego początku. Co wobec tego, Pana zdaniem, wpływa na tak szaloną popularność „Autobusu”?

— Ludzie mają do nas zaufanie. Mówimy o tym co ich obchodzi, o ich sprawach. Kiedyś jadąc na nagranie gdzieś w Olsztynskie mieliśmy awarie samochodu. Miał deszcz. Przyjechaliśmy z dwugodzinnym opóźnieniem. Na stadionie widownia pełna. Czekano na nas. To zaufanie to chyba efekt naszego stylu pracy. Otóż jeśli mamy nagrywać audycję — powiedzmy w Kiernozie — jedziemy tam i po prostu zbieramy materiały jak do normalnego reportażu. Oczywiście w audycji nie mogą znaleźć się te jakieś miejscowe, podwórkowe sprawy. Materiał przez nas zebrany musi być pogłębiony, musi zyskać wartość uogólnienia. Inaczej na widowni w Kiernozie — owszem — byłby duży aplauz, ale co powiedziałby słuchacz audycji — powiedzmy spod Rzeszowa? — Mówi Pan „pogłębienie materiału”. Jak to wygląda w praktyce?

— Ot, teraz robimy audycję o młodzieży. Zbieraliśmy materiał w terenie, ale także odbyliśmy specjalne posiedzenie w Zarządzie Wojewódzkim ZMW, konsultowaliśmy się w Zarządzie Głównym, na apel tygodnika „Zarzewie” otrzymaliśmy masę listów z całego kraju. To wszystko pozwala nam znaleźć problem ogólniejsze od tego, że powiedzmy w jakiejś wiejskiej świetlicy telewizor jest zepsuty. To są chyba przyczyny, dzięki którym słuchacz wiejski, dla którego robimy te audycje, uważa ją za swoją.

Włodzimierz KRZEMIŃSKI

pisarz, autor trzech książek, laureat konkursu na powieść „Odgłosy” drukowały fragment nagrodzonej „Inicjatywy na odlewni”, autor tekstów piosenek i monologów.

— Jest Pan jedynym pisarzem w zespole „Wesołego Autobusu”. Co skłoniło Pana do zajęcia się tym rodzajem twórczości?

— Estrada interesuje się od lat. Pisywałem teksty estradowe jeszcze w okresie i właściwie od tego zacząłem. Przez długi czas, już po wojnie, twórczość estradowa była jedynym rodzajem literackim jaki uprawiałem. Książki, powieści przysły potem.

— „Wesoły Autobus” to audycja wiejska, zajmuje się problematyką wiejską, odległa od Pańskich zainteresowań.

— Tak. Dla „Autobusu” pisze przede wszystkim piosenki. Jeśli zresztą w pracy nad tekstem brak mi tzw. realiów, korzystam z pomocy kolegów, choćby Józefa Mozgi, zwanego „problematykiem”. Spośród tych moich „autobusowych” tekstów zebrało. Jest ich blisko setka — współpracując przezeń z tą audycją od czterech lat.

Wiesław MACHEJKO

dziennikarz, autor wielu tekstów estradowych, współtwórca STS „Pstrąg”. Współpracował z audycją radiową „Program z dywanikiem”. Współpracuje z Teatrem 7.15 i z Estradą. Dla „Wesołego Autobusu” pisze od grudnia 1962 r.

— Nie jesteś specjalistą od problemów wsi, pracujesz w „Expressie”. Co zatem najbardziej frapuje cię w pracy nad tą audycją?

— Jestem dziennikarzem. Interesuje mnie satyra i humor funkcjonalny, zaangażowany, konkretny. W Imperialistów i bońskich odwetowców bić satyrykiwi nie trudno, ale i polityk z tego jakiś? Ale wytknąć Ministerstwu Rolnictwa niewłaściwe postępowanie w dziedzinie mechanizacji rolnictwa? W końcu przecież rwałam moje teksty satyryczne za materiał publicystyczny, tyle że napisany wierszem i pod muzykę.

— Autorzy tekstów do „Wesołego Autobusu” próbują spojrzeć na problemy wiejskie oczyma zwykłego krytycznego mieszkańca wsi, tyle że może bardziej z humorem. Czy tak?

— Nieprawda. Zwykły odbiorca ma poczucie humoru. Nasze teksty muszą być tylko twórczym rozwinięciem tego, co ów odbiorca może na określony temat powiedzieć. Nieprawda — jak to się nieraz nam imponuje — że robimy audycję pod określoną publiczność. Robimy audycję dla określonego odbiorcy, a to zupełnie co innego.

Notował J. Wilmański

EUGENIUSZ FOERSTER

Refleksje na plaży

Martwy ptak — relikwia morza
 Wyrzucony na brzeg
 Leży jak niepotrzebny rekwizyt
 Od urodzenia widział
 Horyzont powietrza
 Usiany światem i zachodem
 Zwęglonej planety
 Pocięty jego białoczarnym
 Ciałem
 Poruszał się jak echo
 Rozproszone
 Nieuchwytny w ruchach

Obrysowuję go kawałkiem trzciny
 Na wilgotnym piachu.



Modlitwa wystuchana

Prosimy ciszę
 O światło dla naszych dzieci
 My rocznik czterdziesty drugi
 Zrodzony w pióropuszcach krzyży
 Bijemy głowami
 W pokorze
 Nie ma już domu bez ścian
 Z trawą w podłodze
 I wizytówką na wyrzutowanych drzwiach
 Nie słyszysz już głosu swego
 W szumie naszych rozmów
 Jesteś wreszcie właścicielem wody i ognia
 Oto cisza niesie nam światło.

U nas słońce zachodzi
 Za witraże deszczu
 Gwiazda z rąk bliźniąt
 Spada jak ziarno pszenicy

Wyciągnijmy dłonie
 Niech wszyscy poczują
 Chłodny smak wody.

Dalszy ciąg ze str. 1

lub owinięte w kawałek papieru pieniądze) napiszę może innym razem. Tak więc zacząłem liczyć i narachowałem 16 restauracji, kawiarni i barów, w których występują muzycy. Okazało się później, że jest ich ciut ciut więcej. Nie wiedziałem na przykład dotychczas, że prócz dobrze mi znanych: „Savoyu”, „Halki”, „Malinowej” i „Agawy”, gorzej „Simu”, „Arkadii” i „Casano-



BALLADY O SAKSOFONACH

wy” są jeszcze takie lokale z muzyką jak „Jedyna” (Osiedle Wł. Bytomskie) i „Popularna” (ul. Limanowskiego), widzewska „Rusalka” i „Nowomiejska” (ul. Wojska Polskiego), nie wiedziałem, że w „Misiu” i „Warszawiance” są pianina i że ktoś na nich gra...

Dzięki przewodniczącemu Związku Organizacji Terenowej i Sekcji Muzyki Rozrywkowej — Bronisławowi Smudze — znanemu dobrze lodzianom pianiście i kompozytorowi (występuje w kawiarni „Cyganeria”) — uzyskałem dokładne informacje odnośnie stanu zatrudnienia muzyków w łódzkich lokalach, ilości samych lokalach, odnośnie ilości zespołów, ich warunków pracy i zarobków.

Jak wynika ze sprawozdań Prezydium Zarządu Okręgu Związków Zawodowych Pracowników Kultury i Sztuki — zaiste niekörtkie to hasło — Łódź posiada 23 lokale w których rozbrzmiewa muzyka oraz dwa w których w najbliższym czasie rozbrzmiewać będzie („Kęś” i „Mariolka”). Na sumę 23 lokali składa się 9 restauracji z zespołami siedmio-, sześci-, pięcioletnimi i czterosobowymi, 8 kawiarni z orkiestrami cztero i trzyosobowymi oraz 6 kawiarni zatrudnia-

jących, z braku miejsca, tylko pianistów. Ogółem Łódzkie Zakłady Gastronomiczne zatrudniają w bieżącej chwili 90 muzyków zawodowych, z których część pracuje na niepełnych etatach. Prócz zespołów mających stałe miejsce pracy istnieją jeszcze dwa wędrujące zespoły zastępcze — cztero i pięcioosobowy. Zadaniem tych zespołów słabych orkiestr-konglomeratów jest zapewnienie luk powstających w te dni tygodnia, w których zespoły „stałe” odpoczywają. Wędrują tedy co dzień naszym miastem smutne, obciążone ciężkimi instrumentami karawany, aby spełnić swą powinność, aby jeden z drugim lokal przypadkiem nie zbankrutował. Od „Savoyu” do „Tivoli”, od „Tivoli” do „Casanowy” itd. — przez cały siedem długich dni tygodnia, przez całe miesiące i lata. Bo wiadomo... kiedy brak w lokalu orkiestry, brak chętnych do zabawy i kieliszka, w rezultacie zaś brak zakładowi zbiorowego tańczenia kilku tysięcy do miesięcznego planu. Dlatego też niech grają jak grają i tak się na tym nikt nie zna. „Zawrócić głowę nogami można przy pomocy każdej kapeli” — kombinują sobie jacyś sprytni ludzie z sympatią zapewne patrząc na zmal-

retowanych, mocno już postarzałych muzyków.

NIE MĘCZCIE TYCH DZIADKÓW

krzyknijmy chórem. Dość tego dobrego. Ze co? Ze zostana bez pracy?...

Ponoć Związek Muzyków powołał do życia Komisję Roboczą, której zadaniem będzie uregulowanie spraw rencistów i emerytów. Można wobec powyższego żywić nadzieję, że tą sprawą zwolnionych z pracy starszych wiekiem odtwórców zajmie się przede wszystkim.

II

„Odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze wyrażanie aplauzu brawami stało się całkiem niepotrzebne” — zapisał na gorąco owociej sali (restauracyjnej) pewien rozgoryczony a dowcipny saksofonista. Dowcip nie należał do najlepszych to fakt. Jednak biorąc pod uwagę przyczyny rozgoryczenia saksofonisty gotowy jestem mu wybaczyć. Otóż zdolny ten muzyk, nie kłężmer, bynajmniej, grał onego czasu w lokalu kategorii trzeciej. Ponieważ nie był kierownikiem zespołu, zarabiał 7 zł i 20 gr za każdą przedmu-

zarabia 9 zł). Stawki członków zespołu w restauracjach III kategorii rozciągają się od 5 zł 60 gr do 7 zł 20 gr. Tak więc nasz saksofonista winien skakać z radości do góry. Wszak dostaje najwyższą w tej kategorii stawkę. Zwróćmy jednak uwagę, że za 130 przepracowanych miesięcznie godzin (etat pełny) szczęśliwy, posiadacz młodej żony i dwojga miłych dzieci zarabiał raptem... 936 zł. Ten muzyk zrezygnował z pracy i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestali pracować w lokalach kategorii III wszyscy muzycy, nawet ci najgorszy.

Niewiele lepiej przedstawia się sprawa wynagrodzeń muzyków w lokalach kategorii drugiej. (od 7 zł 20 gr do 10 zł 40 gr dla członków zespołów, oraz od 9 do 12 zł dla kierowników). Nie też dziwnego, że pewien zrozpaczony akordeonista zmeżony zadytmioną atmosferą lokalu i nocnymi godzinami pracy poszedł w ślady Ślepego Metodiego. „Teraz przynajmniej mam świeże powietrze” — zwierzał się niedawno byłym partnerem z lokalu, w którym wciąż brak wentylacji.

A może by tak podnieść troszeczkę stawki muzykom? Może wtedy lepiej by grał, a mniej klezmerzył? Bo też niektórzy grają okropnie. A w ogóle to wybieram się na wędrowkę po łódzkich lokalach. Ciekaw jestem tych peryferyjnych ale zaoszczędzę i wracam do Srodmieścia „Agawa”, „Balaton”, „Tivoli” — ku nim skieruję, skoro zmierzach zapadnie, swoje kroki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Pozналиśmy już przeżyca Justyna, jednego z głównych bohaterów powieści. Lecz Justyn posiada przyjaciela, którego nazywają Socjalistą, ponieważ kiedyś przeczytał dwie strony z Marksa. Socjalista także opuścił miasto rodzinne lekając się aresztowania. Justyn trafił do opustoszałego dworu, on zaś rozpoczął na własną karierę jako nauczyciel tajnego gimnazjum. Uczy młodzież chłopską. Czy zdola zyskać jej zaufanie? Czy los pozwoli mu spokojnie pracować? Moglibyśmy tego rodzaju pytania mnożyć w nieskończoność — na drugi bohater może zginąć lub zostać kaleką, może dotrwa szczęśliwie końca wojny, a może nie. Nie o to nam jednak chodzi. Jak się zachowywało pokolenie Socjalisty podczas okupacji jak rozumiało swoją rolę, co w końcu przeżyło w sensie najistotniejszym dla każdego człowieka — na te pytania, być może, znajdziecie odpowiedź.

— W stodole leży ranny kolega! Masz sanitariuszy? Wołga krzyknął do tyłu: — Zabierzcie rannego ze stodoly!

Przed piwnicą wybuchły granaty. Nim opadł kurz nieznanomy pobiegł do chłupy. Po chwili prysnęły szyby i zawarzał automat. — Będą się przerywać konno!

— Miotacz płomieni na stanowisko!

Szarża podchorążych trwała kilkadziesiąt sekund. Pędzili z dobytymi szablami, nie mogli jednak rozwinąć się, droga była zbyt wąska. Naprzeciw jeźdźcom wybiegł skłębiony ogień i zgasił przed szarżującymi. Konie zarżały rozpaczliwie, rzucały się w bok, na płoty, kilku podchorążych spadło na ziemię.

— Nie strzelać do nich! Samotne kasztany pędziły przed siebie, trzech podchorążych z szablami w dłoniach przystało beładnie pośrodku piaszczystej drogi. Po chwili jeden z nich wznosił szablę do góry i po-pędził w stronę Wołgi.

— Rece do góry, nie ruszać się! — Kukułka wyszedł na drogę z pistoletem w rękę, za nim nieznanomy. — Bez tej Somosierry,

dupku, dobrze? Masz zapasowy magazynek — zwrócił się do Wołgi.

— Makówka, dajcie towarzyszowi magazynek do em-pi!

Zacięta walka rozgorzała teraz na odcinku Dęba, wynikało z tego, że Żbik Wielki próbuje przerwać się na północ. Pluton sędzi bez walki przy szkole. Wołga spieszył się, przypuszczał, że zdąży jeszcze skoczyć na plecy atakującemu Żbikowi Wielkiemu. Zatrzymał się jednak przy szkole. Obok krzyża leżały ciała zamordowanych.

Z relacji żołnierzy, którzy bronili się w szkole wynikało, że Żbik Wielki spadł na Odpusty z czterech stron. Najpierw zastrzelił obu nauczycieli. Siedzieli na drzewie i zrywali jabłka. Część fa-szystów otoczyła budynek szkolny, inni mordowali słuchaczy kursu politycznego według listy. Jakiś oficer wyczytywał nazwiska, ale rzadko sam strzelał. Miał ołówkę w ręce i był zajęty zaznaczaniem zabitych. Ludzie ginęli w porządku alfabetycznym: Buras, Ciechomski, dwaj bracia Golasowie, żona starego Kaliny. Obojniak, Polak i oboje Widawscy. Zawadki nie zdążyli

dobiec, ponieważ rozpoczęła się strzelanina na krawędziach wsi, więc może wy-żyje.

Wołga słuchał tej relacji ze ściśniętym sercem. Ośrodek szkoleniowy przestał istnieć, stało się najgorsze. Została broń, żywność, amunicja, medykamenty, broszury, powielacz i zapas papieru, zginęli ludzie, przygotowani starannie do pracy po wojnie.

Nadciągnęły oddziały Dęba i Dyszla. Dąb meldował.

— Przerwali się na północ. Mamy kilku rannych, gdzie się ten Abram włóczy, do jasnej cholery!

— Faszyści stracili dwóch ludzi, pięciu rannych i czterech zdrowych, towarzyszu — meldował z kolei Dyszel.

Wołga zamyślił się. Nie ulegało wątpliwości, w starannie, zdawać by się mogło, zakonspirowanej siatce cywilnej zgrupowania, przy-czał się zdradca. Żbik Wielki uderzył w najbardziej odpowiednim momencie. Skąd wiedział kiedy uderzyć? Znał nazwiska aktywistów, sędził prosto na szkołę, wiedział widocznie, gdzie szukać magazynów. Skąd wiedział?

— Dąb, weźmiesz żbikow-

ców na spytki, muszą wie-dzieć, kto nas spytał. Słyszysz? Ja to muszę wiedzieć!

— Tak jest! — Dąb podbiegł do nieznanomego. — Kurcze blade, przecież my się znamy!

Nieznanomy zdjął hełm i wyciągnął paczkę papiero-sów.

— Ponieważ zostałem zde-konspirowany, muszę się przedstawić, stopień nieważ-ny, Marek z armii Skrzetuskiego, której bozia odmó-wiła wiktoria pod Ostachowem i wam też.

— Wołga.

Podali sobie ręce. Zmierzch przykrył już Odpusty. Zabi-ci stygli na cmentarzu, ży-wych ogarniało zmęczenie. Dąb odszedł sprawdzić, czy patrol ubezpieczający ob-sadzili już wyznaczone od-cinki. Żbik Wielki uciekł, ale nie został rozbity i mógł w każdej chwili wrócić. Marek i Wołga usiedli na ławeczce przed szkołą.

— Nie wszystko wyszło jak trzeba, co?

Wołga nie odpowiedział. Z okien szkoły wychylił się Abram.

— Ten ranny pan bardzo sze pyta o pana Studnickiego. Ja mu mówię, że on opatrunek potrzebuje, a nie

Studnickiego. Co by u nas robił taki Studnicki? My jesteśmy same bolszewyki, pan porucznik Wołga jest bolszewyk, pan porucznik Dąb bolszewyk, a już pan porucznik Kulawy to on jest największy bolszewyk, tylko ja jestem zwykły Żyd.

Marek odsunął felczer a skoczył do wnętrza. Konrad leżał na sienniku pod tablicą. Rano, kiedy nauczyciel jeszcze żył, wykaligrafował kredą: „Choćbyś wiele pokoleń przeżył, nim skończysz trwanie, równie dużo ci czasu na wieczną śmierć zostanie”. Na stoliku paliła się jasnym płomieniem lampa naftowa. Konrad podniósł się na sienniku.

— Powiedz tym karawaniarzom, że jeszcze nie umieram. Czuję się przy nich jak na katafalku.

Sanitariusze zgasił świecę. Marek zapytał Abrama.

— Co mu jest?

— A co ma być? Wzeli go i trafili, a teraz powiadają: Abramek ty go ratuj!

Stary felczer pochylił się nad Konradem.

— Pan ma bardzo ładną nogę, ale ona przez miesiąc nie może chodzić. Można sobie poskakać na drugiej, ale ja sze pytam po co?

— Idź pan do cholery! — jęknął Konrad.

Abram zmieniła opatrunek. — Pan zrobi najlepiej, jak my skończymy tę rozmowę. Trzeba wypiec te kroleki. Ajajaj, co to są za





Rena Rolska

pozwole nie tylko zorientować się w aktualnym „stanie posiadania”, ale także wyciągnąć programowe i praktyczne wnioski na przyszłość.

Takie właśnie założenia przyjęli organizatorzy I KRAJOWEGO FESTIWALU POLSKIEJ PIOSENKI W OPOLE: — Komitet do Spraw Radia i Telewizji „Polskie Radio i Telewizja”, Naczelna Redakcja Programu III w Warszawie i Rozgłośnia Polskiego Radia w Opolu, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych w Opolu.

Aby te cele — określone w deklaracji organizatorów — osiągnąć, już w styczniu tego roku postanowiono zorganizować I Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu. Pierwsza wzmianka prasowa na ten temat ukazała się w nielicznych gazetach w pierwszych dniach kwietnia br., a w ostatnich dniach maja br. zwrócono się do piosenkarek i piosenkarzy z propozycją wzięcia udziału w Festiwalu. Już z tego wynika, że dopiero na dwa tygodnie przed o-

Rolskiej, Katarzyny Bovery, Mieczysława Friedla i Olgierda Buczka oraz kilku aktorów ubocznie parających się piosenką aktorską: Jadwigi Swirtuli (parodie), Bogdana Łazuki, Andrzeja Zarneckiego i Andrzeja Stokringera. Trudno przecież, aby Sława Przybylska, Irena, Santor, Wiesława Drojecka, Violetta Villas, Hanna Rek, Maria Koterska, Jerzy Polomski czy Tadeusz Woźniakowski czekali do końca maja, rezerwując sobie czas na ewentualne wzięcie udziału w Festiwalu w planowanym terminie w połowie czerwca (może nie wiedząc nawet, że taki Festiwal jest planowany i nie wiedząc, czy rzeczywiście ktoś ich zaprosił do wzięcia udziału w tym wielkim przeglądzie polskiej piosenki).

Wymienieni piosenkarze, to w końcu nie tylko czołówka wykonawców polskiej piosenki, to także stali współpracownicy Polskiego Radia, więc radiowej, pełniący funkcje kierowników artystycznych Festiwalu chyba powinni sobie zdawać sprawę z tego, że w tak krótkim terminie nie zapewnią ich udziału w Festiwalu. Zaproszono na Festiwal warszawski STS ze specjalnym programem piosenki w reżyserii Jerzego Markuszewskiego, krakowski kabaret studencki „Piwnica pod Baranami”, warszawska grupę piosenkarską „Manek’n”, studencki kabarek „To-Tu” z Gdańska oraz grupę początkujących piosenkarzy ze Studium Piosenki warszawskiego PAGARTU. (Co prawda, wymienione teatry i kabarety reprezentujące ruch studencki mogły wziąć udział w Festiwalu Teatrów Studenckich w Łodzi, który odbywał się w dniach 17-19 maja, tym bardziej, że reprezentują one piosenkę aktorską i literacką. Część publiczności uczestniczącej w Festiwalu opolskim miała okazję przekonać się o tym, ile tradycji piosenki aktorskiej wykonywane w plenerze amfiteatru w porównaniu do ich wykonania w kameralnych salach teatralnych).

No tak. Ale skoro zaproszono już te teatryki studenckie, to chyba należało zaprosić wszystkie teatryki studenckie, mające coś do powiedzenia w piosence. Niestety, nie zaproszono studenckich kabaretów z sąsiednich nawet województw — Poznań i Wrocławia, nie zaproszono łódzkiego „Pstraga”, który już za programy piosenki zdobywał nagrody nie tylko w kraju, ale również na festiwalach w Tuluzie i Parmie.

Nie zaproszono innych. Nie pomyślano o tym, że istnieje Związek Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych ZAKR, skupiający ponad 120 czołowych kompozytorów i autorów piosenek, którzy mogliby udostępnić wykonawcom Festiwalu swoje najnowsze i najambitniejsze piosenki, nie zainteresowano Festiwałem członków Stowarzyszenia Autorów ZAIKS — organizacji nie tylko chroniącej prawa autorskie, ale inspirującej i fundującej nagrody wielu konkursów literackich i kompozytorskich, organizacji od lat walczącej o maksymalne zmniejszenie odpływu dewiz z kraju za eksploatację zagranicznych, często miernych albo zupełnie bezwartościowych piosenek, czyli organizacji zainteresowanej z urzędu w upowszechnieniu piosenki polskiej. W tej sytuacji nie można mówić o spełnieniu podstawowych założeń organizatorów Festiwalu, czyli o przeobrażeniu aktualnego stanu piosenki polskiej, skoro prezentacja piosenki zarówno pod

na. Dobrze się stało, że wybrano na Festiwal Opole, gdzie gospodarze, zdając sobie sprawę, że Festiwal ma dla nich nie tylko znaczenie kulturalne ale i gospodarcze, zdali egzamin na piątkę. Opolszczyzna to piękne tereny turystyczne, panuje tu ład i porządek, dała się odezwać serdeczność wobec uczestników Festiwalu i gości z całej Polski. Pod tym względem Opole udowodniło, że zasługuje w pełni na miano stolicy polskiej piosenki. Następnie Festiwałe powinny właśnie w Opolu mieć miejsce. Tylko o organizacji ich należy myśleć już dziś. Aby uniknąć błędów tegorocznych, trzeba chyba, aby organizatorzy zainteresowali Wydział Kultury miast innych województw, które mają dokładne rozeznanie w tym, co ich miasta mogłyby reprezentować na II Krajowym Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Nie wolno orzeczyc ani jednej okazji, osoby, czy organizacji, które twórczo mogą Festiwalowi do pomocy, zapewnić świetność

w lokalach rozrywkowych i gastronomicznych.

Wyjdźmy naprzeciw polskiej piosence, pomóżmy jej uzyskać prawo obywatelstwa, ale też żądajmy od twórców aby nowe piosenki były coraz lepsze, ciekawsze, bardziej melodyjne. Organizujmy jak najwięcej imprez piosenkarskich i festiwali itp., ale przede wszystkim zawsze sprawę od początku do końca. Wtedy dopiero będziemy mogli wierzyć, że piosenka — nowa piosenka — towarzyszyć nam będzie przy każdej okazji i zasłabi wciάζ jeszcze pokutując: „Góralu, czy ci nie żal” czy „Przepręjmy naszej babci domek cały”.

CEZARY JUSZYŃSKI

I Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki

Nadszedł więc czas, aby zwrócić uwagę opinii publicznej na sprawę popularyzacji polskiej piosenki rozrywkowej. Dotyczy to zarówno masowej piosenki tanecznej jak i literackiej piosenki kabaretowej. Ogólnopolski przegląd naszych możliwości — twórczych i wykonawczych —

głoszonym terminem Festiwalu pomyślano o tym, KTO będzie reprezentował polską piosenkę na Festiwalu. W efekcie „spóźnionego” refleksu organizatorów w sprawie tak istotnej dla powodzenia Festiwalu, udało się — z polskiej czołówki piosenkarskiej — zapewnić udział w Festiwalu zaledwie kilku gwiazd polskiej piosenki, a więc Reny



Katarzyna Bovery

względem autorskim jak i wykonawczym nie była pełna i reprezentacyjna. Słyszeliśmy mnóstwo piosenek Aburatowskiego, Prejznera, Sarata, Matuszkiewicza. Ale nie zaprezentowano piosenek Czyża, Wasowskiego, Szpilmana, Gerta, Markiewicza i wielu innych. Dlatego też słyszeliśmy wiele starych piosenek, którymi aktualnie dysponowali piosenkarze — zawodowi, studenci i amatorzy; przez dwa tygodnie trudno było przygotować coś nowego i ambitnego. W tym stanie rzeczy trudno mówić o pełnym sukcesie Festiwalu. Oczywiście inicjatywa zorganizowania Festiwalu Polskiej Piosenki jest cen-

tej jakże ważnej i potrzebnej imprezie. Jednym słowem, problem w dalszym ciągu istnieje. Istnieje potrzeba ekspansji polskiej piosenki za granicę (załatwia to chyba coraz lepiej Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie), ale przede wszystkim istnieje konieczność ekspansji polskiej piosenki rozrywkowej i tanecznej w kraju. Nie tylko w Radio i Telewizji, które rocznie płacą należność autorskie dla zagranicy za eksploatację obcych piosenek w sumach idących w setki tysięcy dolarów, nie tylko w programach Estrady i kabaretów, ale również — a może przede wszystkim —

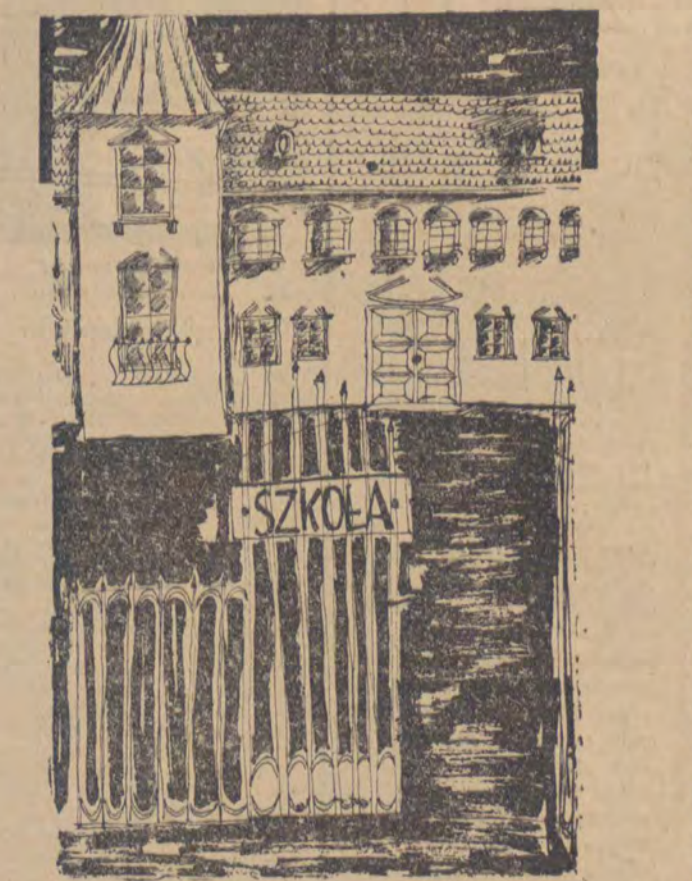
CO w terenie?

W lipcu gościć będziemy Państwową Teatr Ziemi Opolskiej, który 14 miejscowości naszego województwa (m. in. Bełchów, Ozorków, Zychlin, Zduńska Wola, Kłenowa) zaprezentuje „Uczty morderców” A. Wydrzyńskiego.



Po odbudowie i rekonstrukcji zabytkowego (XVII w.) zamku w Bykach k. Piotrkowa, znajduje w nim pomieszczenie Technikum Melioracji Rolnej, które już od września rozpoczyna życie „palacowe”.

Akcja likwidowania tzw. „ogrodów kulturalnych” na terenie województwa łódzkiego — trwa. ZP ZMW wspólnie z Wydziałem Oświaty i Kultury PRN w Łodzi przystąpiły do systematycznego organizowania działalności k-o. w tych miejscowościach powiatu, gdzie do tej pory nie działał się. Przed wszystkim chodzi tu o najbardziej dotąd zaniedbane wsie: Jeronice i Chrabaniec (GRN — Szydłów), które otoczy się szczególną opieką władz i organizacji. W najbliższym czasie powstaną tam możliwe najnowocześniejsze wyposażone świetlice, planuje się także do nowego sezonu organizację wielu ciekawych imprez artystycznych i oświatowych.



kropelki, same anioły będą sze panu snily. W kilka minut później Konrad zasnął. Marek stanął przy oknie. — Będę tu z nim, nie wyśniasz się beze mnie. Ranni szukają przyjaciół, poruczniku. Dacie co zjeść? — Zaraz coś nam przyniosą, chodźcie tu do mnie, pogadamy trochę. Marek skoczył przez parapet i usiadł na ławce. — Grają świerszczyki,

— Pewnie na pogodę, znacie się coś na tym? Wolga uśmiechnął się. — Na pogodę. Jutro podziękuję wam przy całej grupie. — Co to, to nie. Ciężko znosze takie wrzuszające chwile. — Jak chcecie. Skąd wzięliście się w tej stodołę? — Logika tej wojny zapędziła nas prosto do stodoły. Byliśmy w zasadce i jak wiecie dali nam w kość. Porucznik wyznaczył nam

punkt zborny w Miodowych Wzgórzach. Wykonywaliśmy rozkaz, lubie wykonywać rozkazy porucznika. Powiedział: przeniak drobnymi grupkami, więc przeniakaliśmy we dwóch, mniejszej grupki, zdaje się, już nie ma. Złać się w terenie aż do zupełnej niewidoczności, powiedział, no to zlewaliśmy się. Zielony mundur, zielony las. Zachować pełną gotowość bojową. Konrad nie jest znowu taki wytrzymały, ale jak się prześpi zachowuje gotowość. Akurat trafiliśmy do stodoły, spało się trochę i tak nam jakoś zeszło aż do ostatniego zajazdu Zbika Wielkiego na Odpusty. Wolga zapalił papierosa. Ciekawil go ten akowiec, ale w jakiś szczególny sposób. To, co Marek mówił, napoty lekceważąco, niedbale, znać było w gruncie rzeczy więcej niżby można było sądzić. On działa świadomie, kieruje się jakąś logiką, jakimś przekonaniem, ale nie chce o nich mówić. — Wiem dosyć dużo o was. Ostrzegaliście mnie przed tym faszystą, dzisiaj znowu wsparliście komunistę. Macie na pieńku ze Zbikiem Wielkim, poróżniliście się z Wilczkami... — Zgadza się, czy u was zawsze tak długo czekają goście na kolację? — Większy głód, większa przyjemność w jedzeniu, to fakt. Zbik Wielki to nasz wspólny wróg, na to wychodził, prawda? — Chyba nie. — Jak to nie? Strzelaliśmy razem do niego, to coś znaczy. — Owszem, ale co innego niż wy myślicie. — Nie rozumiem wobec tego dlaczego wzięliście u-

dział w akcji, przecież Armia Krajowa stoi ponad partiami — w głosie Wołgi zadźwięczała cieniutka nutka ironii. Marek odpowiedział sucho. — Wzięliśmy udział w akcji z głodu. Szukałem właśnie kurzych jaj w ślaniu, na górce, widok znakomity, więc zauważyłem wasze główki w zbożu. Konrad też szukał jajek, ale na dole i zauważył tych przyjemniaczków. Prawde mówiąc domyślaliśmy się, że się pobijecie i w tej sytuacji uradziliśmy: nie stracimy szansy, jesteśmy żołnierzami i musimy chociaż raz odnieść zwycięstwo. Wolga wstał. Był trochę zdenerwowany. Przecież ten człowiek kpił sobie, to jasne, że kpił. Nie można popierać komunistów, jeżeli nie sympatyzuje się z nimi w jakikolwiek sposób, nie można strzelać do faszystów, jeżeli to przyjaciele. — Nie chcecie powiedzieć sobie prawdy, może zresztą na to za wcześnie, ale powiesz ja bracie, powiesz jak amen w paclerzu, to fakt. Człowiek musi wiedzieć dlaczego strzela. Marek podniósł się także z ławki. — Dlaczego, u diaska, wy chcecie, żeby wam każdy człowiek mówił: jacy mądrzy, cecani, mają rację, bardzo was za to kocham. No, ale ja powiem, wszystko powiem. Po kolacji, poruczniku. Naprawdę nie znaleźliśmy w stodołę ani jednego jajka. * * * — Jak byłem bardzo jeszcze mały, żył nasz niezapomniany dziadziuś i straszyl swoje wnuczka widmem Szeli. Rozumiesz Ma-

reczku, mówił dziadziuś, za dworskim płotem czają się Szele z siekierami. Nie rozmawiaj z nimi, Mareczku, pilnuj się przed chamami, bo cię zamordują. Myślałem wtedy, że ten Szela to jest Indianin z tomahawkiem w ręce. Przywiąże do pala oskalpuje i zetnie główkę. A jak byłem starszy to przyjeżdżał do nas wujcio Karol, ogólnorodziny liberal. Każda poważniejsza rodzina musi mieć takiego. Wujcio mówił, że należy wypróbować wszystkie teorie społeczne i wybrać najlepszą. Jeden powiat — po staremu, z dziećmi i chłopami na własność, drugi w guście Owena, trzeci — korporacyjny, jak u Mussoliniego, czwarty — przyrządzony po duńsku, wiesz, farmerzy, krowy, mleczarki i dużo masła. Zaś piąty — w gustowne kolchoziki, co moje to nasze, co nasze nie twoje i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli, dajmy na to, w jakimś powiecie podadzą słodka wódkę pod dziczynę, znaczy, że eksperymēt do luzu. Dobry był Karolek, co? Marek trzymał konia za uźde, na koniu siedział Konrad. W proździe maszerowało „ubezpieczenie”. Kukułka i Dyszel, który wracał uczyć się znowu w kosieradzkim gimnazjum. Kukułka zaś miał sprawdzić siatkę wywiadowca na północy powiatu. Marek zrezygnował z dalszej wędrowki do Miodowych Wzgórz. Konrad nie mógł chodzić, trzeba mu było znaleźć ciepły kął. Kosierady wydawały się idealnym miejscem. Socjalista pomocy nie odmówił. Dzień był gorący i duszny. Powietrze, słuche i rzadkie, z trudem napływało do płuc.

— Zasadź mnie z tego rumaka, muszę odpocząć! Schronili się przed słońcem w cieniu młodych sosen. Kukułka i Dyszel wyszli przed las. Konrad wyciągnął się na trawie. — Daj papierosa, żołnierzu, tulacz! Mówiłeś interesująco o konwencjach, plnemy się po nich jak ten bluszcz. Która ostatecznie wybrałeś, dziadziusia, czy wujka Karola? — Ojcowska. Tatusia trzeba słuchać. Pięć gram w karty, dziewczynkę z lózką nie wyrzucam, ale to się teraz zmieni. — Komuna przypadła ci do gustu? Cała noc przesiedziałeś z tym czerwonym watażką. — Nie komuna, bo to abstrakcja, ale człowiek. Zobacz sam jak to z nimi jest, Chciałem żyć z dziewczyną, nie tknięta przez cywilizację. Nie wyszło, ale to była wielka myśl. Śniła mi się też jakaś leśniczówka, strzelbą i wierny pies, żona bez twarzy, ale z dobrą dupą, kielich jalewocówki w czas zadyмки, przyjaciel, który przyjeżdża sankami. Też ładna idea. Albo zupełnie inaczey — myślę sobie inaczey, żeby to całe życie mieć w czterech literach. Oddzielić się od indywidualizować, przywdziać szaty jakiejś koterii, jak malarz paryski, który ma modelkę z rynsztoka, mansardę i kawiarenkę w bocznej ulicy. Duży pomysł, kosmiczny! Albo po prostu zszarzać w jakimś domku na przedmieściu. Rozumiesz?



Powoli lecz systematycznie

Tak właśnie zmienia nam się sytuacja kadr kierowniczych naszego łódzkiego przemysłu. Wcale nie taka łatwa sytuacja, no bo — jak wiadomo — obsadzało się kiedyś dyrekcje zakładów na zasadzie — jaki taki byle jaki, byle był. W rezultacie mieliśmy jeszcze w roku 1961 stan zupełnie nie normalny: na każdy tysiąc ludzi zatrudnionych w przemyśle lekkim przypadało ledwie 0,77 procent pracowników z wyższym wykształceniem, 4,2 proc. ze średnim, 65,8 proc. z podstawowym, a 29,2 proc. nie posiadało nawet podstawowego wykształcenia.

Jakże to tak? Takie pytanie postawiła sobie Egzekutywa KŁ PZPR i postanowiła ten stan zmienić.

W przemyśle bawełnianym tylko 21 proc. naczelnych dyrektorów posiadało wyższe wykształcenie, obecnie już 44,5 procent. Postęp wyraźny, chociaż i dziś trudno pojąć czemu ponad połowa dyrektorów nie ma za sobą dyplomu.

W przemyśle dziewiarsko-pięczeniowym już 41,1 proc. dyrektorów ma za sobą wyższe studia (w roku 1961 — 23,5 proc.), podstawowe już tylko 1,5 proc. (w roku 1961 — 19 proc.).

W sensownym obsadzeniu stanowisk kierowniczych na terenie przemysłu łódzkiego jest jeden poważny mankament, którego nie można uśunąć bez ministerialnej decyzji. Chodzi o rozbudowę i zwiększenie ilości miejsc na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego zachowuje się w tej materii jak Sfinks. Milczy, a przecież Sfinks jest tylko mitem, żywi ludzie powinni natychmiast reagować na słuszne zadania.

odgłosy TYGODNIA

Gwałtu, rety, co się dzieje!

W pięknym parku pod worskim na terenie Nowego Miasta wyposano niedawna barany, w ten sposób ludowa trzoda wzięła sprawiedliwość nad dawnymi obszarnikami. Inna rzecz, że miasteczko nie mogło korzystać z pięknego parku.

Ale to jeszcze pół biedy. Gminna Spółdzielnia w Dzierżynie (sieradzkie) zagospodarowała się na dobre w zabytkowym dworze Bemów. Jak dotąd zniszczono bez reszty zabytkowe kominki. Inna GS, tym razem z Charlupki Małej, doprowadza do ruiny zabytkowy budynek, tyle tylko, że używa nowoczesnych metod, siekiery, młotki nie wchodzi w grę. Po prostu zamieniono zabyttek ten na skład nawozów chemicznych, azot rozkłada gliniaste fundamenty, no, i maluzeko, a całość rozpada się. Oby w tym momencie był w magnazynie prezes! Zlewnia mleka z Kolaćna doprowadziła do kompletnej ruiny niezwykle rzadki zabyttek — starą pocztę, tzw. pocztalierię.

W Boczkach marnieje

przepiękny dwór modrze wiowy. Dwór uległ pożarowi, lecz można by go odbudować, inaczej piękne drzwi, okna, rzadkie drzewo modrzewiowe, pójdą na rozkurz. Można trzeba, lecz jak co do czego przychodzi — nie ma kto. Spółdzielnia produkcyjna w Malkowie doprowadza do ruiny piękny, klasycystyczny dwór w Tubadzinie. Dach świeci dziurami, niszczy balkony, dzieje się park. Rzadkie i pamiątkowe przecież tablice nagrobne żołnierzy napoleońskich trzeba było schronić przed wandalami na ementaru kościelnym. Spółdzielnia produkcyjna nie jest dobrym konserwatorem zabytków statui nie przewidywać podobnych zajęć, to jasne. Ale nie jest, wciąż jasne, kto się w końcu zajmie zabytkiem dworem.

Tę garść smutnych wiadomości o stanie bezczynnych zabytków na terenie naszego województwa przytaczamy za Biuletynem PTK okręgu łódzkiego. To bardzo interesujące wydawnictwo i bardzo zatroskane o sferze kultury historycznej na naszym terenie.

SYLWETKI AKTORÓW ŁÓDZKICH



SŁAWOMIR

MISIUREWICZ

SŁAWOMIR MISIUREWICZ należy do najstarszej grupy aktorskiej powojennego pokolenia.

Rozpoczął pracę zawodową w r. 1944 w Rzeszowie wraz z Kazimierzem Dejmkiem, Adamem Hanuszkiewiczem i Ignacym Machowskim.

W ciągu 19-letniej działalności aktorskiej pracował na scenach: Jeleniej Góry, Wrocławia, Częstochowy, Poznania, Kalisza, Opola, Bydgoszczy i Torunia.

W swym dorobku artystycznym grał wiele o dużej rozpiętości charakterystycznej ról — jak Ignatow — w „Tani”, Jagon — w „Otelu”, Gospodarz — w „Weselu”, W. Ks. Konstanty — w „Kordianie”, Centurion — w „Celestynie”. W 1949 r. na I Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Warszawie uzyskuje nagrodę za rolę Sybiriakowa — w „Zielonej ulicy” A. Surowa.

W r. 1960 rozpoczyna pracę w Łodzi. Początkowo w Teatrze 7.15 (Warawin i Polutatorynow w „Śmierci Tarekina”). W okresie ostatnich dwóch lat występuje na deskach Teatru Nowego. Pamiętamy go z ról: Urzędnik Sztylo — ze „Sprawy”, Grzegorz Dydala i Bartnicki „Rak” z „Zabusi”, sierżant Błom — ze „Skandalu w Helbergu”, Fotograf — w „Niepokoju przed poróżą”.

W chwili obecnej gra Komisarza w „Tym, który dotrzymuje słowa”.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO



Więc pijmy

Nie rozumiem, dlaczego się na mnie obrzacie? Dlaczego mnie obrzucacie wyzwiskami? Czy jestem ulepiony z innej gliny niż wy, tak zwani normalni ludzie? Owszem, lubię od czasu do czasu zajrzeć do kieliszka. Za kolnierza jak to mówią, nie wlewam. Ale proszę, niech mi kto udowodni — czym się różnię od was? Czy może jestem obdarzony specjalnymi właściwościami psychicznymi, których wy nie posiadacie, predestynujecie mnie do alkoholizmu nalogowego? Jak wynika z najnowszych badań naukowych, danych psychologicznych i psychopatologicznych nie można

Przysłowia o pijaństwie

- NADMIAR SŁÓW NUŻY — NADMIAR WINA
(Abchaskie)
- WÓDKA WSZYSTKO NISZCZY —
OPRÓCZ NACZYŃIA
(Kalmuckie)
- WIECZOREM PIJANICA — RANKIEM PRÓŻNIAK
(Japońskie)
- NIE ZAŁ WINA LECZ RZUMU.
(Rosyjskie)
- Wybrał i przełożył
Fr SWARZYCA

wyodrębnić określonych właściwości cielesnych i psychicznych swoistych tylko dla alkoholików. A skoro tak?

A ponadto posiadam to, czego wy nie posiadacie, mianowicie optyzmizm. Czy świat widziany przez moje okulary nie jest piękniejszy niż wasz? Czy czło wiek, w którego żyłach płynie krew przemieszana ze szlachetnymi trunkami nie potrafi się wzniesić tanim kosztem w stan absolutnej nieważkości nie tylko ciała ale i ducha, i jakże często w tym stanie niebo mam pod nogami, a kamienie tańczą na moje rozkazy?

Skoro więc niczym się nie różnię od was, a ponadto jestem bogatszy duchem, dlaczego na miłość boską, mnie najzupełniej normalnego człowieka powracającego po ostatnich spotkaniu z przyjacielem na czworakach, i odpoczywającego co parę metrów w ryszotku jakiegoś niewyraźnego typu wyzywa: od plugawych świń. Czy to było na miejscu? Powiedzcie.

Lato, lato, lato czeka...

Ale nie na wszystkich. Nie wszystkie dzieci łódzkie posiadają możliwość spędzenia wakacji „z rzeką i z lasem”. Nie wszystkie też dzieci zostały objęte akcją kolonijną. Czy znaczy to jednak, że spędzą one lato na swoich — jakże jeszcze często — brzydkich i ponurych podwórkach?

Pytanie retoryczne, gdyż dzieci mają wielu przyjaciół. Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w tym roku wakacyjnym organizuje imponującą akcję lata w mieście. Właściwie, to tak niezupełnie w mieście. Po pierwsze — ponad dwieście dzieci — najbardziej potrzebujących —, wyjedzie na tepedowskie kolonie. A dla innych — TPD wspólnie z Komendą ZHP organizuje lato w mieście, które znowu nie będzie tak zupełnie w mieście. W parkach łódzkich, przede wszystkim na Zdrowiu powstanie osiem stanic, organizowanych systemem harcerskim, gdzie z

biwakującymi dziećmi pracować będzie aktyw tepedowsko-harcerski. Staniom podlegać będą punkty staniczne, czyli... podwórkowe place zabaw dziecięcych, oczywiście, te najładniejsze, najlepiej wyposażone w sprzęt zabawowy. Urozmaici się je jeszcze — między innymi w namioty, gdzie pod okiem aktywistów tepedowskich dzieci będą mogły udawać biwak. Akcja obejmie ponad 5 tysięcy naszych łódzkich milusińskich.

Jednocześnie przez miesiąc lipiec i sierpień w Grotnikach trwać będzie nieustający biwak tepedowski, gdzie na czterodniowych turnusach dzieci z łódzkich podwórek będą mogły choć trochę spełnić letnią piosenkę, że „lato czeka, razem z latem czeka las”...

Gdzie jest wątróbka?

Wiadomo, że klientów trytował fakt ponumerowania sklepów różnych branż. Do niedawna nie było sklepów mięsnych tylko MHM nr który rys tam. Nie było sklepów spożywczych tylko PSS nr który tam, itd. itd, aż do zupełnego zgłajszachtowania lepszych i gorszych placówek handlu.

Ostatnio coś zaczyna się zmieniać w tej dziedzinie. Pierwsze otrzymały nazwę księgarnie. Jest „Pegaz”, „Naukowa”, „Akademicka”... Miejski Handel Mięsem postanowił również iść z postępowaniem. W witrynach masarni ukazały się zgnito-pomidorowe sztydy z napisami: „Wątróbka”, „Cielęcinka”, „Flaczki”, „Kielbaska”, nawet... „nóżki i mózdzek”. Tylko jed na rolada nie została zrobiona, no bo jak? „Roladka”?

W końcu przecież nie chodzi o niefortunne zdrobienia, które śmieszają łodźian i dają powód do żartów. Chodzi o to, że w „Wątróbce” możesz wcale nie szukać wątróbki bo jej tam nie znajdziesz. Cielęciny można kupić w „Roladzie”, a nóżek nie dostaniesz w „Nóżkach” lecz na przykład w sklepie pt. „Flaczki”.

Otóż sztydy wprowadzają w błąd. Sklepy mięsne nie mają żadnej „specjalizacji” i nazwy są wyłącznie dozwolone przez piwiarza lecz nie spełniają podstawowej funkcji reklamy i informacji klientów. Znow ktoś coś przegapił, ktoś wpadł na koncept nie znając się na rzeczy. Czyli wszystko po staremu.

ZLOT

Łódzki aktyw ZHP należy do naprawdę aktywnych. Mimo trudności kadrowych (która organizacja ich nie posiada) aktyw harcerski stara się stanąć na wysokości zadania. W miesiącach wakacyjnych organizowane będą specjalne obozy szkoleniowe, których uczestnicy uzupełnią kadre instruktorów harcerskich. W tych dniach (3-4 lipca) odbywa się w Zalesiakach pow. Pajęczno Zlot Zuchowych Kręgów Pracy. Uczestnicy rekrutują się spośród instruktorów opiekujących się najmłodszymi harcerzami. Najważniejszym punktem programu Zlotu jest narada poświęcona podsumowaniu II etapu ofensywy zuchowej oraz wytyczenie zadań trzeciego etapu. Kręgi Pracy odgrywają olbrzymią rolę w popularyzacji tej organizacji dla najmłodszych. Wymiana doświadczeń poszczególnych Kręgów winna wpłynąć na dalsze udoskonalenie ich pracy. Bogaty program Zlotu przewiduje również zajęcia z dziećmi Zalesiak, Działoszyna i okolicznych wsi. W ten sposób instruktorzy Kręgów będą mieli okazję praktycznego zdemonstrowania swych osiągnięć. Inicjatywa Komendy Chorągwi Ziemi Łódzkiej (która jest organizatorem Zlotu) na pewno zasługuje na uwagę.



do druku podał
St. Czerwinski

JUNOSZA-STĘPOWSKI

W roku 1922 Junosza-Stępowski (Hrabia Manzini) grał z Zelwerowiczem (Baron Regnard) w sztuce Andrejewa „Ten, którego biją po twarzą”. Odbywa się tam scena gwałtownej sprzeczki w ogrodzie. Junosza trzyma dwiema rękami łaskę i z lekką na niej przysiadła. Kłótnia trwa dość długo, wreszcie Junosza podniesionym głosem mówi: „Ja bym się na to nigdy nie zgodził!” Na te słowa zza krzaka wychodzi, wołując skradając się, doberman i uderza wally siedzeniem o ziemię. Pies szceka krótko dwa razy i powoli odchodzi, zostawiając gramolącego się z trudem aktora. Efekt był znakomity. Upadkowi towarzyszyły zawsze dwa jęki: Junoszy i publiczności, a odejściu psa salwa śmiechu (oczywiście tylko publiczności). Komizm obojętnie wycofującego się sprawy upadku był niezrównany!

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem: na „Odgłosy”.
Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17.
Zam. 2055 VI. 63. K-6